

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K

Nr. 11

Jerozolima, 1 września 1943 r.

Rok I

BOHDAN ŁĄCZKOWSKI

TA DZIWNĄ WOJNA...

Wojnę lat 1914—1918 ochrzczono mianem Wielkiej Wojny. Obecna wojna sięganie nie mniej głęboko do podstaw bytu narodów świata od Wielkiej Wojny. Nie wiadomo, pod jakim mianem wejdzie do rejestrów historii. Teraz pisze się o niej, że to dziwna wojna...

Ta dziwna wojna. Jeżeli co upoważnia do tego rodzaju określenia, to przede wszystkim polityczne koleje, które doprowadziły do obecnego konfliktu światowego. Wojny poprzednie wydają się nam czymś prostym w ich konstrukcji politycznej, w porównaniu z wojną obecną. Jeszcze w czasie wojny lat 1914—1918 istniały dwa wyraźne, wrogie obozy. Utrzymana została zasada, że nieprzyjacielem naszych przyjaciół są naszymi nieprzyjaciółmi. Państwa jednego obozu starannie wypowiadały wojnę państwom obozu przeciwnego. Obecna wojna pełna jest „wojen na stronie” i częściowych neutralności. Wprowadzone zostaje nowe w stosunkach międzynarodowych określenie „państw niewojujących”, ale nie neutralnych. Inne znów państwa „neutralne” wysyłają „ochotnicze” oddziały na ten czy inny front.

Podstawowe pojęcia, niejako elementy stałe każdej wojny — w czasie wojny obecnej stają się zmiennymi, względnymi. Takie pojęcia jak sojusznik, wróg, front. Wojna obecna jest totalna w swej przynależności. Nawet data jej rozpoczęcia stanowi przedmiot dyskusji.

Ten stan rzeczy wynika z wielkiej roli działań nieregularnych w przebiegu teraźniejszej wojny. Pojęcie „piątej kolumny”, czy „quislingów” są właściwością tej wojny. Określenie propagandy jako jednego z rodzajów broni nie jest czczym frazesem.

Jednym z sukcesów propagandy niemieckiej w okresie przedwojennym było wpojenie w świat przekonania, że Traktat Wersalski zawarty został szczególnie nieudolnie i był nie do utrzymania. Zdanie to przyjęte zostało nawet przez tych, którzy chcieliby, by w traktacie tym istniały postanowienia akurat przeciwnie tym, których życzyliby sobie Niemcy. Jeżeli przyczyn obecnej wojny szukać należy w mechanizmie świata, stworzonego przez Traktat Wersalski, to nie należy jeszcze stąd wysnuwać daleko idących wniosków krytycznych co do samej litery tego traktatu. Jak każdy układ pokojowy, zawierany przez koalicję, był on wynikiem interesów członków tej koalicji, niejednokrotnie sprzecznych. W konferencji pokojowej w Wersalu brali udział ludzie, którzy byli świadkami jak lampą elektryczną w ich młodości wypierała oświełnienie naftowe czy gazowe. Ludzie ci nie przewidzieli znaczenia czołgu czy samolotu w nowoczesnej technice wojennej, czy radia w propagandzie i polityce. Można ich winić za ten brak przewidywania, lecz na znacznie surowsze potępienie zasługują ci mężowie stanu, którzy decydowali o losach Europy w latach 1919—1939. W tym to okresie czasu w szeregu państw europejskich dokonywują się rewolucyjne przemiany wewnętrzne. Przy czym rzecz charakterystyczna: tak jak hasłem rewolucji wieku XIX było uzyskanie większych swobód dla społeczeństwa, tak rewolucje Europy Powsarskiej mają jedną wspólną cechę — dokonywane są wszystkie z dążeniem do wzmocnienia władzy.

W państwach szczególnie przywiązanych do demokratyczno-parlamentarnej formy rządów uchwalane są bezustannie pełnomocnictwa, które mają dać rządowi możliwość szybkiego działania. Czynnikiem czasu, konieczność szybkiego działania staje się elementem decydującym w polityce, jak później w samym przebiegu działań wojennych.

Rewolucje, pełnomocnictwa czy inne sposoby wzmocnienia władzy i nadania jej większej sprawności nie wystarczają. Europa przechodzi w okresie dwudziestolecia po Traktacie Wersalskim wielki kryzys klas rządzących w poszczególnych państwach. Rządy nowoczesnym państwem stają się czymś zbyt skomplikowanym jak na przygotowanie do nich ludzi rządzących. Wypadki toczą się zbyt szybko. Ludzie rządzący są zbyt mali. Dochodzi do kataklizmu.

* * *

Każdy schemat, w który ujęlibyśmy wojnę teraźniejszą, a zwłaszcza jej dzieje polityczne, wydać się może czymś sztucznym. Można zawsze kwestionować, dlaczego pewnym wydarzeniom nadaje się wagę większą od innych. Można zakładać, że z dalszej per-

spektywy inaczej będą oświetlane i inaczej klasyfikowane epizody, czy całe okresy tej wojny. A jednak dla lepszego przypomnienia sobie niektórych faktów musimy przeprowadzić próbę takiej klasyfikacji.

Wojna zaczęła się 1 września 1939 roku. Mogła być zacząć się w roku 1933, 1936 czy 1938. Zaczęła się 1 września 1939 r. Zaczęła się, bo rząd Rzeczypospolitej nie przyjął skierowanych pod adresem Polski żądań niemieckich. Od czasu decyzji Jana Sobieskiego pójsćcia na odsiecz Wiednia żaden akt rządu polskiego nie odegrał tak ważnej roli w dziejach świata, jak to „nie”, powiedziane Niemcom w r. 1939. Wybuch wojny nastąpił w chwili bardzo wyraźnego stanu nastrojów w świecie. I w czasie gdy większość ważnych dla dalszego przebiegu wojny układów politycznych nie była dokonczona. Na krótko przed wybuchem wojny Wielka Brytania i Francja wiązały się sojuszem z Polską. Gwarancje, dane Polsce, mają na celu powstrzymanie Niemiec od wojny przez wykazanie im, iż Polska nie bę-

i przerażenie świata Niemcy próbują wyko-rzystać propagandowo i politycznie. Chcą do-wieść, że Polska została pobita tak szybko, bo nie była zdolna do egzystencji, bo była państwem sezonowym, bo była jednym z ży-wych błędów Traktatu Wersalskiego. Celem tej akcji jest izolacja Polski. Próba namo-wienia Francji i Anglii, które w czasie kam-panii polskiej zdołały przeprowadzić mobili-zację, — by zgodziły się na zawarcie pokoju kosztem Polski. W tym duchu działa jako po-srednik ambasador włoski w Londynie, Ba-stianini. Stąd zapewne pośpiech Mussoliniego w głoszeniu końca Polski.

Próba izolacji Polski nie udaje się. Świat zbyt dokładnie zrozumiał niebezpieczeństwo niemieckie, by cofać się po pierwszej prze-granej. W czasie gdy Niemcy przegrupowują swe siły, wystrzępione więcej w czasie kam-panii wrześniowej niż to się na zewnątrz wy-dawało, trwają w całej pełni przygotowania do dalszej wojny we Francji i w Anglii. Roz-poczyna się rozbudowa przemysłu wojennego

W numerze:

W. Broniewski: Słońce Września. — K. Pruszyński: Walczymy. — Z. Kotowicz: Krwawiąca mapa Polski. — J. Tuwim: Z „Kwiatów polskich”. — J. Nowak: Kiedy Polacy walczyli na Sycylii. Mierosławski w 1849 r. — H. Giełdziński: Z podróży po Afryce Zachodniej. — J. Larren-Lenczowski: List z Iranu. — J. Gajewski: Warszawa — Quebec — Warszawa. Czterolecie udziału Polski w wojnie. — T. Sowiński: Dom. — M. Górecki: Zmierzch geopolityki. — M. Czuchnowski: List. — Z. Bronceł: Ucieczka z więzienia. O „Faustynie” Obertyńskiej. — sz.: Pożegnania z Faustyną. — J. Czapki: Tempo i jakość pracy. Urywki z dziennika. — J. Janusz: Polska praca na obcej ziemi. — Tel-Aviv pod znakiem preeji polskiej. — Z prasy obcej. — G. Herling-Grudziński: (Publicystyka Mackiewicz). — D. Szczerbie: Opinie angielskie. — Kronika polska. — wh.: Strajki wę-glowe w U.S.A. — ww.: Kronika polityczna, — Palestyna i Bliski Wschód po wojnie.



Rys. Zdzisław Borysowicz

dzie walczyć w odosobnieniu. Układ niemiecko-rosyjski, zawarty na tydzień przed wojną, staje się rodzajem politycznego prologu ataku na Polskę. Naczelne dowództwo niemieckie wie, że po rozbiciu Polski nie potrzebuje się teraz obawiać trwałego drugiego frontu na wschodzie. Plan działań wojennych wydaje się prosty: pobić szybko Polskę na Wschodzie, a następnie skoncentrować wszystkie siły na Zachodzie.

Pierwszy akt tragedii wojennej to wojna polska. Działania wojenne w Polsce trwają zaledwie pięć tygodni. Wydaje się to krótko, nawet bardzo krótko światu, który przyzwyczajony jest jeszcze z czasów poprzednich wojen do wielomiesięcznych kampanii i latami trzymających się linii frontów. To zdumienie

Stanów Zjednoczonych. Następuje trwająca przez cały prawie rok reorganizacja armii sowieckiej.

Zamiast pożądanego przez Niemcy pokoju, potrzebnego im do „strawienia” zdobyczy na Wschodzie i przygotowania się do dalszego skoku, początek roku 1940 przynosi układ francusko-angielski co do dalszego, wspólnego prowadzenia wojny. Dotąd obydwa te państwa związane ze sobą były jedynie gwarancjami, danymi Polsce.

Rozpoczęcie dnia 1 września 1939 r. wojna nie będzie więc tylko wojną polską. Koniec pierwszego aktu przynosi zarazem zapowiedź dalszej akcji.

* * *

Początek aktu drugiego przynosi największe powodzenie akcji dyplomatycznej Niemiec. Doprowadzają one do wyzyny mistrzostwa wojny nieregularną na obszarze całej niemal Europy. Jest to okres wstępny działań wojennych na Zachodzie. Niemcy stosują taktykę „Czarnego luda”, straszącego gromadkę dzieci. Próbuje rozłożyć politycznie mniejsze państwa Europy. Nie wstydzą się ruin Warszawy, czy innych zniszczeń, dokonanych w Polsce. Przeciwnie. Pokazują je chętnie w wydawnictwach książkowych czy pokazach filmowych. Niech wszyscy widzą, co znaczą sprzeciwić się potędze niemieckiej. Niech widzą, że los Polski będzie losem każdego, kto stanie na drodze polityki Hitlera. Wojna nerwów trwa w całej pełni. W kawiarniach stolic europejskich puszczane są wieści na temat przyszłego kierunku ataku wojsk niemieckich. Od małych państw Europy Niemcy uzyskują szereg ustępstw. Najmniejsze z nich — to nie wiązanie się z Anglią i Francją. Nawet Belgia pomimo doświadczeń wojny poprzedniej nie chce, by wojska francuskie dostatecznie wcześniej zajęły pozycje obronne na jej ziemiach. Dania, Norwegia, Belgia, Holandia zostają zajęte. Każde nowe państwo zaatakowane wywołuje nowe przerażenie, nowe próby ucieczki od wojny innych. We wszystkich państwach podbijanych akcja polityczno-propagandowa wyprowadza akcję wojskową Niemiec. Wszędzie działa Piąta Kolumna. W Norwegii na scenie politycznej pojawia się Quisling, którego nazwisko staje się symbolem.

W tej atmosferze błyskawicznych zwycięstw wojennych i udanej wojny nieregularnej Hitler atakuje Francję. Przedtem jeszcze propaganda niemiecka działa we Francji. Trafia do kół wielkiego przemysłu argumentami, iż wojna jest zbyt złym interesem dla wszystkich, by warto było ją przedłużać. Skomunizowane ośrodki robotnicze mamione są przez Niemców argumentami o istniejących dobrych stosunkach niemiecko-rosyjskich. Jeszcze do dnia 22 czerwca 1941 r. niektórzy działacze komunistyczni Francji będą występować z tezą, że w gruncie rzeczy pod okupacją niemiecką robotnikom francuskim nie powodzi się gorzej niż za czasów Trzeciej Republiki.

Jeżeliby do tragedii wojennej dorabiana miała być ilustracja muzyczna — to w chwili podpisywania układu w Compiègne w roku 1940 niemieckie Parademarsche brzmieć winny najgłośniej. Wojna wydaje się być wygraną przez Niemcy. Przy stosunkowo małej ilości ofiar, szybko, con brio.

Wojna tak dalece wydaje się być wygraną, że ostrożny dotychczas Mussolini spieszy się, by wziąć w niej udział, by zapewnić sobie zyski zwycięskiego pokoju.

Układ niemiecko-francuski o, zawieszeniu broni będzie niewątpliwie najbardziej spornym aktem politycznym tej wojny. Inaczej wyglądał on w chwili podpisywania, inaczej już w niewiele czasu potem, inaczej jeszcze zapewne osądzony zostanie z perspektywy historii. Podpisując układ z marszałkiem Pétain'em, Niemcy zyskiwali na czasie w swej akcji przeciwko Anglii, uniemożliwiali flotę francuską i zapewniali sobie kontrolę nad najważniejszymi strategicznie punktami Imperium Francuskiego. Przez unieruchomienie floty francuskiej Niemcy ułatwiali sobie ewentualną akcję przeciwko Wyspom Brytyjskim. Flota była głównym atutem Francji w chwili zawieszenia broni. Wyjście jej z akcji zmuszało Anglików do wzmocnienia własnej floty śródziemnomorskiej i do osłabienia przez to obrony metropolii.

Zawieszenie broni było ze strony rządu Pétain'a aktem zdrady sojuszniczej Polski i Anglii, dokonany dla egoistycznie pojętego celu: ratowania Francji, w chwili gdy armia lądowa francuska była rozbita i gdy miliony uchodźców dezorganizowały życie Francji niezajętej przez Niemców.

Ze strony Niemców układ w Compiègne podyktowany był chęcią jak najszybszego przygotowania się do ataku na Anglię. Zawieszenie broni wyłączało Francję z działań wojennych przed całkowitym jej pokonaniem. To dobijanie Francji nie wydawało się potrzebne w chwili, gdy istniało przekonanie o bliskim zakończeniu wojny przez zwycięstwo nad Anglią. Później, gdy okazało się, że Anglia ostała się nietknięta, flota francuska i

zreorganizowana przez generała Weyganda armia Afryki Północnej stała się czynnikiem, poważnie krępującym niektóre plany Hitlera. Niedokończone zwycięstwo nad Francją staje się jednym z najpoważniejszych błędów strategii wojennej Hitlera.

* * *

W starych tragediach klasycznych najwyższe nateżenie dramatyczności akcji następuje zwykle w akcie czwartym. W wojnie teatralniejszej najbardziej dramatyczny był akt trzeci. Zwycięskie Niemcy, sekundowane przez Włochy, panowały na kontynencie Europy. Bronią się jeszcze tylko mała wyspa angielska. W Egipcie nieliczne i źle wyposażone wojska generała Wawella, w samej Anglii w pośpiechu skłębiona armia, której oddziały powróciły z Dunkierki bez broni. O tym to okresie czasu myślał stary kpiarz Bernard Shaw, mówiąc, że „dobrze, iż ci Anglicy pozabawieni są na ogół lotnej wyobraźni. Przegrali wojnę w r. 1940 — nie spostrzegli się, no i przedrzyli tak, że w końcu... pewno ją wygrają”.

Anglicy nie chcieli wówczas spostrzec, że wojna była bliska przegranej. Wytrwali. Znieśli ogień z nieba i groźbę inwazji. Rzadko chyba czyjeś słowa miały tak wielką wagę dla dziejów świata, co słowa zachęty do walki i otuchy, rzucane wówczas przez Churchilla dla podtrzymania ducha narodu.

Nie było wówczas mowy o drugim froncie. Anglia miała wtedy tylko jednego sojusznika, który od początku wojny walczył na wszystkich frontach i we wszystkich okolicznościach. Sojusznikiem tym byli Polacy.

Hitler nie dokonałby totalnej ofensywy lotniczej na Anglię. Nie zdecydował się na inwazję wyspy angielskiej. Wzbierająca fala zwycięstw niemieckich zbliżyła się do Anglii i opadała.

* * *

Wojna włosko-grecka była początkowo rodzajem akcji „na stronie”. Wyglądało to tak, jakby została rozpoczęta przez Włochów dla pokazania, że oni też coś potrafią. Nie wiele potrafili. Gdyby Jugosławianie zdecydowali się wcześniej na dopomożenie Grekom, chociażby przez wysłanie „ochotników” do Albanii, — możeby Włosi zostali wrzuceni do morza. W Jugosławii rządzili jednak wówczas elementy ugodowe wobec Niemiec.

Niemcy pozwoliłyby być może na kompromitację Włoch w Grecji, gdyby nie konieczność przygotowania dalszej akcji. W chwili rezygnacji z inwazji Anglii przed Hitlerem stały dwie ewentualności: atak na Imperium Brytyjskie w najczulszych jego pozycjach na Bliskim Wschodzie lub atak na Rosję, której rosnąca siła wojenna rozpoczynała niepokoić kierowników Trzeciej Rzeszy. W obu wypadkach trzeba było zapewnić sobie spokój na Bałkanach. Dzięki akcji politycznej Niemcy uzyskały bazy wojskowe w Rumunii i w Bułgarii, uzyskały tranzyt dla wojsk przez Węgry. Zafatłwili w arbitrażu

wiedeńskim sporne kwestie tych państw. W Jugosławii zdawały się już być bliskie zamierzonych osiągnięć, gdy niespodziewany przewrót pokrzyżował ich plany polityczne. Trzeba było przekonać Jugosławie i Grecję orężem o słuszności polityki niemieckiej. Zniszczenie Belgradu nosi wszelkie cechy zemsty za „nie-dojrzałość polityczną”, tak jak zniszczenie miast polskich. W Serbii stworzono „General Gubernatorstwo” — podobnie jak w Polsce. Niemcy starannie segregują ze względów dydaktyki politycznej narody na więcej i mniej krnąbrne. Stopniują formy rządów po podboju. Jednym pozostawiają własnych Hachów czy Quislingów, tolerując pewne przejawy autonomii narodowej. Inne narody ujęte zostają w żelazne karby administracji „General Gubernatorstw”.

Istnieje uzasadniona podstawa do przypuszczeń, że kampania grecko-jugosłowiańska wraz z epilogiem jej na Krecie opóźniła o kilka tygodni datę ataku niemieckiego na Rosję. Zabrakło w każdym razie Niemcom tych kilku tygodni czasu w okresie, gdy u schyłku roku 1941 sroga zima zastąpiła wojska niemieckie u wrót Moskwy.

W tym to właśnie okresie Ribbentrop organizuje zjazd w Berlinie, poświęcony budowie Nowej Europy. Zjazd ten miał być politycznym dyskontem zwycięstw oręża niemieckiego. Zakończył się widomym niepowodzeniem polityki zagranicznej Rzeszy. Niemcom nie tylko nie udało się pozyskać do współpracy w budowie nowego ładu w Europie państw neutralnych, lecz na zjeździe państw hołdowniczych czy podbitych gotowe są one tylko tak dalece współpracować z Niemcami, jak bezpośrednio grozi im ich oręż.

W czasie wojny obecnej, zwłaszcza w pierwszej jej fazie, Niemcom udało się wiele chwytów politycznych o charakterze dywersyjnym. Równocześnie jednak Niemcy wykazali całkowity brak zdolności do tworzenia imperium. Przekonanie o tym, że są „narodem panów” i ciasny ich nacjonalizm przeszkodziły Niemcom stworzyć taki Nowy Ład w zawojowanej Europie, który wydałby się jej narodom możliwy do przyjęcia.

Ribbentrop ogłosił na zjeździe w Berlinie, że Armia Czerwona przestała właściwie istnieć. W kilka dni później wojska sowieckie wypędzają Niemców z Rostowa. Atak japoński na Pearl Harbour stwarza drugi teatr wojny. Początkowe sukcesy Japończyków dostarczają propagandzie niemieckiej możliwości odwrócenia uwagi własnego społeczeństwa od niepowodzeń ciężkiej zimy na froncie rosyjskim. Akt czwarty tragedii wojennej, który miał przynieść Niemcom rozstrzygnięcie przez atak na Rosję, staje się coraz dłuższy, coraz krwawszy. Wojna obejmuje swym zasięgiem świat cały. Wszystkie wielkie mocarstwa świata są już w bezpośredniej akcji. Pełne napięcie działań wojennych trwa przez cały rok 1942.

Od czasu ataku niemieckiego na Rosję wojna komplikuje się pod względem politycz-

nym. Od końca 1941 r. przestaje istnieć możliwość zakończenia wojny jakimś stosunkowo łatwym zwycięstwem. Prawdopodobieństwo prostego zwycięstwa Niemiec istniało w roku 1939 w razie zgody Francji i Anglii na pokój kosztem Polski, w r. 1940 w razie udanej inwazji na Anglię, w r. 1941 w razie pobicia zupełnego Armii Czerwonej. Dla Sprzymierzonych zabłysła na krótko możliwość zwycięstwa w listopadzie roku 1941. Gdyby ofensywa gen. Cunninghama w Libii rozwinęła się szybko, z mniejszymi stratami, gdyby równocześnie w Afryce Północnej przeciwko Niemcom i Włochom wystąpiły wojska francuskie, a na morzu Śródziemnym istniejąca jeszcze w całej swej sile flota francuska — to przy równoczesnej pierwszej wielkiej porażce niemieckiej pod Rostowem i konieczności łatania zachwianego frontu rosyjskiego możliwość inwazji Sycylii powstałaby już od pierwszych dni roku 1942.

Kto wie, czy Japonia weszłaby wówczas do wojny. Wojna w Europie kończyłaby wojnę na świecie całym. Stało się inaczej. Uderzenia, zadawane przez Japonię, osłabiały siły brytyjskie. Głównie poważna część wielkich jednostek floty. W obu wielkich krajach wojujących: w Anglii i w Niemczech zaznacza się fala zmęczenia wojną. W Niemczech wskutek ciężkiej zimy na froncie wschodnim. W Anglii wskutek porażek na Dalekim Wschodzie. Równocześnie w Rosji następuje odprężenie psychiczne, wywołane zahamowaniem postępów wojsk niemieckich.

Najważniejszym aktem politycznym tego okresu wojny, w którym z europejskiej przetrwała się ona w światową, była podpisana w sierpniu 1941 r. przez prezydenta Roosevelta i premiera Churchilla Karta Atlantyczna. Akt ten był w pewnym stopniu antycypacją polityczną udziału Stanów Zjednoczonych w wojnie.

Karta Atlantyczna określa, jak ma wyglądać świat w razie zwycięstwa anglosaskich. Obraz ten był na tyle atrakcyjny, że stworzył dla Niemiec konieczność przeciwdziałania w formie proklamacji Nowego Ładu w Europie. Pisaliśmy już o niepowodzeniu tej akcji Niemiec. Znaczenie propagandowo-polityczne Karty Atlantycznej było olbrzymie. Trudno jest określić, w jakim stopniu narody świata pragną demokracji jako przyszłej formy rządów i o nią walczyć. Napewno natomiast chcą większych praw jednostki. Obraz świata, pełnego obozów koncentracyjnych i zorganizowanych aktów barbarzyństwa przeciwko jednostce ludzkiej stał się czymś tak nieznośnym, że nie mógł nie pociągnąć za sobą poczucia zagrożenia cywilizacji. Karta Atlantyczna przyjęta została jako próba ratunku cywilizacji. Z prostych jej postanowień przebijało poszanowanie swobód obywatelskich, które były treścią życia narodów europejskich w wieku XIX i w pierwszym okresie wieku XX.

Wartość realno-polityczna Karty Atlantycznej osłabiona została już od razu przez zastrzeżenia co do jej sformułowania, wysunięte

przy jej podpisywaniu przez Związek Sowiecki. Sojusze antyniemieckie, zawierane przez Związek Sowiecki z poszczególnymi Sprzymierzonymi po 22 czerwca 1941 r., stwarzają odcięcia komplikacji interpretacji ideologicznej. Rząd Związku Sowieckiego zobowiązywał się w tych układach do walki przeciwko Niemcom „hitlerowskim”. Koniec reżimu hitlerowskiego w Niemczech może więc być uważany jako koniec „casus foederis” ze strony Związku Sowieckiego w wojnie przeciwko Rzeszy. Innego rodzaju komplikacje powstają przez niechęć wypowiedzenia wojny Japonii — pomimo, że zaatakowała jej sojuszników. Utrzymujące się dobre stosunki sąsiedzkie rosyjsko-japońskie stwarzają zupełnie specjalną sytuację prawną, polityczną i wojenną.

Niemcy w r. 1942 dają dalsze dowody nieumiejętności politycznej. Wojska niemieckie są pod Stalingradem i pod Aleksandrią. Pomimo to Niemcom nie udaje się przeprowadzenie żadnej większej akcji politycznej. Nie umiemy zdobyć dla siebie pełniejszej współpracy narodów, zamieszkujących zajęte obszary Związku Sowieckiego. Nie chcą czy nie umiemy im dać dostatecznie dużo swobód, by pociągnąć ich wyobraźnię. Chcą zachować sobie pełną swobodę manewrowania pomiędzy poszczególnymi tendencjami autonomicznymi, czy niepodległościowymi, a dążeniem do utrzymania jednolitości rosyjskiej. Nie zdobywają się na jakikolwiek większy akt polityczny. Państwo ukraińskie nie zostało kreowane ani po wejściu Niemców do Kijowa, ani po utrwaleeniu się ich w Charkowie. Obszary zajęte pokrajane zostały na poszczególne prowincje, zbyt wyraźnie odbiegające od aspiracji narodowych ludów je zamieszkujących. Zaszczepna rola dostawców jaj i masła dla berlińczyków nie wystarcza dla zdobycia wyobraźni, zwykle dość egzaltowanej, tych narodów. Polityka niemiecka na ziemiach zajętych Związku Sowieckiego w latach 1941 i 1942 jest najjaśniejszym przykładem braku zdolności narodu niemieckiego do tworzenia imperiów.

Nie lepiej udaje się Niemcom i Włochom ich polityka muzułmańska. Wpływy państw Osi na Bliskim Wschodzie były bardzo silne. Próbuje one wywołać na początku roku 1941 rewoltę w Iraku. Pucz Khailaniego był źle zorganizowany i niedostatecznie wspomagany przez Niemców. W chwili gdy w r. 1942 pod El Alamein ogłoszone zostały niemiecko-włoskie gwarancje dla Egiptu — nie wywołały one już większego echa. Rola Mussoliniego jako protektora Islamu zbyt wyraźnie zakrawała na farsę, łapczywość i brutalność Niemców w krajach okupowanych stały się zbyt głośne nawet poza Europą.

* * *

Kłesa Niemców pod Stalingradem, ofensywa ósmej armii brytyjskiej pod El Alamein i lądowanie Sprzymierzonych w Afryce Północnej rozpoczynają piąty wielki akt tragedii wojennej — akt widocznego już zwycięstwa Sprzymierzonych.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

SŁOŃCE WRZEŚNIA

Wrócę do Polski, i znów będą wrześnie,
będą spadały z drzew grusze i śliwy,
w niebo popatrzę — i będzie bolesnie:
pod słońcem września nie będę szczęśliwy.

To słońce stało ponad horyzontem,
błogosławiące wrogim samolotom,
to słońce biło nas żelaznym frontem,
dział hukiem, czołgów złowrogim łoskotem.

A czołgi w bagnach wyschniętych nie grzęzły,
szły armje, szybsze niżli polski piechur,
bomby waliły w kolejowe węzły,
płonęły miasta, rzucane w pośpiechu,

szli Niemcy...

Któż to niegdyś wstrzymał słońce?
Czemu nie zgłasło nad warszawską bitwą?
Ono świeciło — okrutne, palące —
w oczy żołnierza, który trwał i wytrwał.

Słońce wspaniałe! Słońce nad Warszawą,
nad Westerplatte, nad Helem, nad Kutnem,
wschodzące krwawo, zachodzące krwawo,
nienasycone widokiem okrutnym!

I już go odtąd nie ujrzę inaczej,
niż w krwi oparach, brzemienne przekleństwem,
w dymach ze stosu męstwa i rozpacz,

rozpaczą krwawe i promienne męstwem.

O, słońce! Słońce Września! Miną lata,
zdeptany będzie przez Prawo łeb węża,
może we wrogu odnajdziemy brata,
może sercami będziemy zwyciężać,

może tak będzie... Ale słońce Września,
dni naszej chwały i krwi i cierpienia,
przeklećte będzie w legendach i w pieśniach,
aż nowe wznoszą po nas pokolenia.

WALCZYM

W najbliższych dniach nakładem
Wydawnictwa „W Drodze” ukaże się
książka Ksawerego Pruszyńskiego „Wal-
czymy”. Przedrukujemy z niej zakoń-
czenie.

Książka ta powstała w czasie walki, gdy niebo nad światem poczęło bieleć pierwszymi blaskami świtanie. Ale owo świtanie było jeszcze dalekie i niepewne, podczas gdy ziąb przedświutu wgrzyzał się aż do głębi ludzkich ciał i serc. Przeto książka ta nie spisuje bilansu naszej walki, nie wlicza, ileśmy torped wypuścili na morzach dalekich, ileśmy samolotów stracili, ileśmy strzałów oddali, ile rozbili czołgów. Tak samo, jak nie rozdała na zapas nikomu wawrzynów zwycięstwa. Przyjdą jeszcze nowe torpedy, nowe samoloty i czołgi. Kilka nazwisk wymienionych, są to nazwiska zmarłych. Zbyt wiele się w Polsce laurów przyznawało i zbyt wiele rozsiewało kadzidła żywym. I zbyt źleśmy na tym wyszli.

Książka ta mówiła i chciała mówić, tylko o bohaterstwie tego żołnierza, co siedział bo-rem, lasem dla ojczyzny ratowania. A choćby i przez morza. Tego, który padał w borze karpacim jesienią i wydierał się z drutów obozów, byle przedostać się do Francji. Tego, który pod Narwikiem rozpoczynał na obczyźnie walkę o wolność, i tego, który na morzu nie przerwał jej nigdy. Tego, co bróczył krwią w lasach wozegskich, gdy obok niego inni pierzchali, nie broniąc własnej ziemi, i tego, co szlakami Sułkowskiego aż nad Nil i za Nil doszedł. I tego, którego przywrócono życiu, wolności i Polsce w tajdze rosyjskiej. I tych, co ugrzęźli w niewoli. I tych w Miranda del Ebro. I tych, co padli. I tych, którzy nie wrócą.

Być może, że nie byliśmy narodem, który dobrze umiał się rządzić. Być może, że nie byliśmy i takim, który umiał się do wojny dobrze przysposobić. Ale byliśmy przecież takim, który o wolność walczył tak, jak żaden inny. Nikt w ciemnej godzinie Września nie pomyślał, że naród polski dźwignie się na obczyźnie do tak wspaniałej epopei wojennej, jak ta, którą już ma za sobą. Nikt nie wiedział, że srom zaleszczycki zostanie okupiony granitem Narviku, palmami Tobruku, wywrzynem Wozegów, cierniem Rosji, zmyty pianami wszystkich mórz, które rozpruwa polski okręt, starty wichrem lazuru owych nieb, które przekreślał

cień naszych samolotów, a wreszcie ubarwiony karmazynem krwi najcenniejszej.

Obyśmy na wspomnienie tego wszystkiego walczyli jeszcze lepiej!

Obyśmy z tych ofiar żołnierskich nikomu nie mościli drogi do sławy, cokołu do władzy i tego wszystkiego, co było nieszczęściem Polski!

Obyśmy obmyśli się w owej drodze życiowej z tych wszystkich naszych błędów i grzechów i wad. Obyśmy się nauczyli, że nie jest patriotą ten, co widzi tylko samo dobre, i nie jest złym synem Ojczyzny ten, co wytyka wady. I obyśmy, wracając do Polski, gdy nas witać będą, powiedzieli: „Nie przychodzimy, aby brać od was nagrody, ani by wami rządzić, ani by wam coś kazać. Przychodzimy, albowiem wedle naszej najlepszej woli i mocy staraliśmy się za Ojczyznę walczyć, a teraz my chcemy dla niej pracować. Za nagrodę niech nam będzie dane się na przyzbie najbliższej polskiej chaty i w ciszy polskiego wieczoru napoić się zapachem polskich pól o zmierzchu. A jeśli przyzby nie będzie, to przypaść do ziemi, za którą tęskniliśmy przez te wszystkie lata.

Bohaterów wśród nas nie szukajcie. Nie pytajcie, kto byli pierwsi. Najpierwsi — to ci, których już nie ma. To ci, co zginęli cicho lub sławnie, krwawo lub wycierpnięcie, w bitwie i wśród murów więziennych. Za nich wszystkich, których już z nami nie ma, zmówmy

WIECZNE ODPOCZYWANIE !”

Nowość!

BEATA OBIERTYŃSKA

FAUSTYNA

Opowieść

Nakładem wydawnictwa „W Drodze”
w Jeruzolimie.

Cena 150 milsów.

ZYGMUNT KOTOWICZ

KRWAWIĄCA MAPA POLSKI

Cztery lata wojny, to cztery lata stałych zmian mapy Polski, to cztery lata wysiłków niemieckich zmierzających do wymazania Państwa Polskiego z mapy Europy, a z nim i całego narodu polskiego.

Sukcesy militarne w początkowym okresie obecnej wojny umożliwiły Niemcom dokonanie wielu zmian na mapie Polski. Niektóre z tych zmian są fikcją, trwały tak długo, jak długo będzie trwać na ziemiach polskich okupacja; niektóre będą wymagały pewnego czasu zanim znikną bez śladu; a są i takie, które będą wymagały drugiej i bardzo ciężkiej pracy nim się usunie nie tylko te zmiany, ale i skutki tych zmian — nieraz bardzo daleko sięgające.

MAPA POLITYCZNA

Okupacyjne władze niemieckie, gwałcąc prawo międzynarodowe, podzieliły całe okupowane terytorium Państwa Polskiego wewnętrznymi granicami. Pomorze, Wielkopolska, województwo Łódzkie, Górny Śląsk, oraz szereg powiatów, graniczących z tymi okęgami (Ciechanowski, powiat Białostocki, Zagłębie Dąbrowskie, Żywieckie, Biała-Bielsko), zostały zaanektowane i przyłączone do Rzeszy. Województwo Wołyńskie zostało przez Niemców włączone do zorganizowanego przez nich Ukraińskiego Komisariatu Rzeszy. Natomiast województwa: Wileńskie, Nowogródzkie, Polesskie i częściowo Białostockie włączono do t. zw. Komisariatu Rzeszy Ostland. Reszta ziem polskich (okrojone województwa: Warszawskie, Kieleckie, Krakowskie oraz województwa Lubelskie, Lwowskie, Stanisławowskie i Tarnopolskie) tworzą t. zw. „Generalne Gubernatorstwo“.

MAPA ETNOGRAFICZNA

Ten sztuczny podział polityczno-administracyjny posłużył Niemcom jednocześnie jako pretekst do zmiany etnograficznej mapy Polski. Przede wszystkim zaczęły się rугi z ziem inkorporowanych do Rzeszy. Okupacyjne władze niemieckie postanowiły w sposób gwałtowny szybko zgermanizować anektowane okręgi, usuwając rdzennie polską ludność, a na miejsce jej sprowadzając Niemców z różnych części Europy. Polityka ta została zastosowana przede wszystkim wobec miast.

Niemcy gwałtem usunęli prawie wszystkich Polaków mieszkających Gdyni i Orłowa, około 70.000 Polaków wywieźli z Poznania, około 150.000 Polaków z Łodzi, 60.000 z Kalisza, 50.000 z Włocławka, oraz dziesiątkami tysięcy z innych miast: z Gniezna, Torunia, Grudziądza, Chełmna, Leszna, Rawicza, Ostrowia, Kosciana, Owidza, Witkowa, Mogilna, Wrześni, Gostynina, Żnina, Swarzędza, Płocka, Suwałk, Ciechanowa, Pułtuska, Lipna, Nieśzawy, Konina, Koła, Aleksandrowa, Turka, Ciechocinka, Katowic, Chorzowa, Tarnowskich Gór, Rybnika, Pszczyny, Cieszyńska, Białej, Żywca i z wielu innych. Deportacje te rozciągły się również i na szereg okręgów wiejskich, przeprowadzając rугi ludności chłopskiej. Szczególnie masowy charakter przybrały te rугi w powiatach: Bydgoskim, Szybińskim, Wyrzyskim, Żnińskim, Suwalskim, Ciechanowskim, Włocławskim, Płockim, Łódzkim, Kaliskim, Chrzanowskim, Białej, Wadowickim, Żywieckim, Pułuskim, Konieńskim.

Łącznie około 2.000.000 Polaków wygnano z ich odwiecznych siedzib, zrabowawszy uprzednio całe ich mienie. Polaków tych Niemcy skierowali do okręgów: warszawskiego, radomskiego i krakowskiego.

Nie mniej ucierpiał województwa włączona do t. zw. Ostlandu. Żywioł polski w tej części kraju ucierpiał już bardzo w ciągu pierwszych dwu lat wojny na skutek wywiezien do Rosji ponad 300.000 Polaków. Niemieckie władze okupacyjne z całą bezwzględnością prowadzą politykę, zmierzającą do wytopienia całego żywiołu polskiego, posługując się w tym celu szowinistami litewskimi, ułatwiającymi im politykę eksterminacyjną. W rezultacie polski stan posiadania, zwłaszcza na Wileńszczyźnie, jest tępy z całą bezwzględnością.

Również i „Generalne Gubernatorstwo“, aczkolwiek miało być „rezerwatem“ dla ludności polskiej, jest widownią gwałtów niemieckich, zmierzających do rozbicia jedności etnograficznej narodu polskiego. Już uprzednio ucierpiał bardzo województwa południowo-wschodnie (Lwowskie, Stanisławowskie i Tarnopolskie), z których wywieziono około 600.000 Polaków do Rosji. Obecnie Niemcy realizują swój plan utworzenia etnograficznego pasa bezpieczeństwa, przechodzącego przez najbardziej czyste etnograficznie ziemie polskie, a mianowicie przez Lubelskie. W ciągu bieżącego roku usunięto przemocą już wiele tysięcy chłopów polskich z blisko 400 wsi. Akcja ta trwa nadal.

Z różnych stron Polski wywieziono gwałtem również 2 miliony Polaków na roboty do Niemiec.

Na miejsce deportowanej ludności polskiej tak do okręgów inkorporowanych do Rzeszy, jak i do Lubelszczyzny, władze okupacyjne sprowadziły Niemców z krajów bałtyckich, Bukowiny i Besarabii, obdarzając ich zrabowanym u Polaków mieniem. Obecnie ten żywioł niemiecki jest uzupełniany przez tysiączne rzesze uchodźców z bombardowanych miast Nadrenii, z Hamburga, Berlina i innych. W miastach polskich w „Generalnym Gubernatorstwie“ Niemcy zarekwirowali dla siebie mieszkania całych dzielnic.

Dla uzupełnienia obrazu zmian etnograficznej mapy Polski należy jeszcze uprzytomnić sobie, iż w Warszawie, Krakowie, Radomiu, Lublinie, Lwowie, Wilnie, oraz w wielu mniejszych miastach polskich prawie zupełnie zniknęli Żydzi, w bestialski sposób wymordowani przez Niemców.

W rezultacie czteroletniej wojny jedna trzecia mieszkańców polskich została wyrugowana ze swych siedzib i przeniesiona do innych dzielnic, wywieziona do pracy w Niemczech, zamknięta w obozach jeńców, więzieniach i obozach koncentracyjnych lub znajduje się na uchodźstwie.

MAPA GOSPODARCZA

Zaszyły również zmiany w mapie gospodarczej Polski. Cały przemysł i handel hurtowy został odebrany przez Niemców z rąk społeczeństwa polskiego.

Pracują całą parą zagłębia Śląskie, Dąbrowskie i Borysławskie, których produkcja jest potrzebna niemieckiej maszyni państwowej. Zamarza jednak Łódź, której większość fabryk została zdemontowana i wywieziona do Rzeszy, dla pozostałych zaś brakuje surowca. Niemcy z premedytacją niszczą również nowy polski okręg przemysłowy C.O.P. Tętniący przed wojną życiem port w Gdyni jest martwy. Nawet Szwedzi, którzy przed wojną utrzymywali z tym portem ożywione stosunki handlowe, nazywają obecnie Gdynię — „Totenhafen“ (martwy port), przekraczając oficjalną nazwę niemiecką „Gotenhafen“. W całym kraju zamknięto wiele dużych polskich firm handlowych.

Zmieniono nawet uprawę roli, narzucając chłopom kultywowanie różnych roślin, potrzebnych Niemcom dla celów przemysłowych. Spada gwałtownie pogłowie koni, konfiskowanych dla armii niemieckiej oraz pogłowie bydła, bitego na potrzeby wojska niemieckiego. Lasy są wycinane.

PRZEMIANY SOCJALNE

Te wszystkie zmiany pociągają za sobą z kolei poważne zmiany społeczne. W tej chwili praktycznie prawie nie istnieje klasa posiadaczy wielkiej własności. Wszystkie banki, fabryki i kopalnie przeszły w ręce niemieckie. Na ziemiach inkorporowanych skonfiskowana została wielka własność ziemiska. Także na Kresach Wschodnich i w Małopolsce Wschodniej nie przywrócono praw własności uprzednim właścicielom majątków polskich, zlikwidowanych przez władze sowieckie.

Niemcy z całą bezwzględnością zlikwidowały prawie już całkiem górną warstwę inteligencji polskiej. Po ciosie wymierzonym w zespół profesorski Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie posypały się dalsze. Przeróżnie druga jest lista uczonych polskich, którzy zginęli w ciągu czterech lat okupacji niemieckiej. Od czterech lat są zamknięte wszystkie wyższe uczelnie w Polsce. Od czterech lat ani jeden Polak nie mógł zdobyć tytułu naukowego: doktora, magistra lub inżyniera. Okupanci odbierają prawo do życia naukowcom, prawnikom, ekonomistom, pisarzom — nawet duchownym, zamykając kościoły, a księży wysyłają do obozów.

Niszczona są i szersze warstwy inteligencji polskiej. Średnie ogólnie-kształcące zakłady naukowe są zamknięte. Liczne rzesze ludzi ze średnim wykształceniem nie mogą znaleźć zatrudnienia w charakterze urzędników i nauczycieli i przerzucają się do innych zawodów; uczą się rzemiosła lub pracują jako niewykwalifikowani robotnicy.

Topnieje również warstwa drobno-mieszczaństwa. Na ziemiach inkorporowanych do Rzeszy cały handel polski został zlikwidowany, a z nim straciły podstawy egzystencji rzesze kupców, subiektyw, spedytorów, księgowych, urzędników bankowych. Na Kresach Wschodnich sytuacja jest prawie że identyczna, gdyż tu handlem może się trudnić właściwie tylko żywić niepolscy. W „Generalnym

Gubernatorstwie“ w rękach polskich znajduje się tylko jeszcze handel drobny, stale jednak ograniczany z jednej strony przez szykany niemieckie, z drugiej zaś przez brak towarów. W rezultacie z miesiąca na miesiąc nowe fale ludzi tracą podstawę dla swej egzystencji.

Niemcy z całą konsekwencją przy użyciu najbardziej brutalnych i bezwzględnych metod wtłaczają cały naród polski w ramy dwu warstw społecznych: robotników sprowadzonych do roli niewolników, wykonywujących katorżne roboty, oraz chłopów, pracujących w warunkach pałiszczyznianych.

ZAGROŻONE BIOLOGICZNE ISTNIENIE NARODU

Niezależnie od tego wszystkiego naród polski jako całość jest niszczone biologicznie. Indywidualne wyroki śmierci już prawie nie zapadają. Niemcy tracą jednocześnie co najmniej kilkanaście lub kilkadziesiąt osób. Coraz częściej zdarzają się masakry, w których niemieccy oprawcy mordują naraz setki i tysiące Polaków za to tylko, że są Polakami. A ostatnio zaczęły się wypełniać Polakami obozy śmierci w Tremblince i Majdanku, dawniej przeznaczone do masowego mordowania Żydów. Tysiącami mrą Polacy, katowani w więzieniach i licznych obozach koncentracyjnych: w Oświęcimiu i innych. Obfite żniwo śmierci zbierają zaważone do Polski epidemie tyfusu i innych chorób zakaźnych. Mrą ludzie na gruźlicę, choroby tarczycy, wszelkiego rodzaju przeziębienia, bo nie ma możliwości leczenia się, a warunki bytowania sprzyjają rozwojowi chorób. Mrą wreszcie ludzie z wyczerpania głodowego. Śmiertelność noworodków wzrasta zastraszająco. Górna granica wieku gwałtownie opada, gdyż ludziom w starszym wieku szczególnie trudno wszystko to przetrzymać. Ci co żyją, są coraz więcej wycieńczeni niedojadaniem, ciężką pracą (jeśli ktoś pracuje), chłodem (bo nie ma opału i ciepłej odzieży), trawiącymi chorobami. Do tego wszystkiego dochodzą stałe prześladowania, upokorzenia, groźby — ciągle nowe tortury psychiczne.

ZMIANY NA MAPIE POLSKI

Zmieniała się mapa Polski. Spłonęło doszczętnie szereg miast i wiele wsi w czasie kampanii wrześniowej. W czasie wojny niemiecko-sowieckiej nowe miasta i wsie poszły z dymem. Tym razem w Małopolsce Wschodniej i na Kresach Wschodnich.

Zbrodnica ręka niemiecka zamazuje na mapie Polski polskie nazwy miast i wsi. Gdy nie przechrzczone na „Gotenhafen“, Łódź na „Litzmannstadt“ w samym tylko Poznańskim, Kaliskim i Łódzkim zmieniono nazwy 15 tysięcy miejscowości. Te „chrzty“ odbywają się we wszystkich dzielnicach. Jeśli nie zmienia się nazwy całkiem, to przynajmniej nadaje się nazwie brzmienie niemieckie.

Obok tych nazw nowego znaczenia nabierają istniejące lub zjawiają się całkiem nowe pojęcia geograficzne, krwawiące jak ropiejące rany na mapie Polski. Oświęcim koło Krakowa — miejsce masowej kaźni kwiatu inteligencji polskiej, Majdanek koło Lublina — oboz śmierci, gdzie codziennie tysiącami mordowano Żydów, a obecnie w podobny sposób morduje się Polaków. Podobny oboz śmierci w Tremblince koło Sokołowa Podlaskiego. Także oboz śmierci w Beżcu. Oboz śmierci w Sobiborze koło Włodawy. Oboz w Helenowie, gdzie oprawcy niemieccy hańbią polskie kobiety, chcą poprawić swą zbrodnica rasę.

Na całej mapie Polski zaznaczone są liczne obozy koncentracyjne: w Augustowie, Ciechanowie, Dobrzyniu, Dylach (pod Biłgorajem), Działdowie, Dziesiątej (pod Lublinem), Grudziądzu, Jasle, Kołuczewie, (pod Baranowiczami), Łodzi, Nasielsku, Pełkiniach, Płońsku, Potulicach (koło Nakła nad Notecią), Pomiechówku, Sierpcu, Sosnowcu, Tarnowie, Trawnikach (koło Lublina), Starogardzie, Myszowicach, Kosowie, Podaskim, Młocinach (pod Warszawą), w Inowrocławiu, oraz spec-

jalne obozy koncentracyjne dla księży: w Bojanowie koło Rawicza, i w Konstantynowie pod Łodzią, a także wiele innych, których nazwy nie znamy.

W piękny krajobraz polski wdarły się liczne cmentarze: tych, co zginęli na polu chwały w walce z wrogiem, i tych, których w czasie tych walk pomordowali żołnierze niemieccy, chociaż pomordowani stanowili ludność cywilną, a wśród nich były kobiety, dzieci i starcy; a obok stale mnożące się cmentarze niewinnych ludzi, traconych w czasie zbiorowych egzekucji.

USUWANIE ZMIAN

Niektóre z tych zmian, widniejących dziś na mapie Polski, łatwo i bez śladu usunąć. Ostateczne zwycięstwo Aliantów obali jednocześnie i sztuczne granice polityczne, narzucone przez Niemców Polsce i całej Europie. A gdy Prezydent Rzeczypospolitej i Rząd Polski znajdą się wreszcie w Warszawie, wystarczy jednego dekretu państwowego, aby z mapy Polski wytrzeć wszystkie nazwy niemieckie. Obozy koncentracyjne zniszczy sam naród. Wróć Polacy do swych odwiecznych siedzib i jeszcze mocniejszą nogą staną na prastarych ziemiach polskich. Fala zalewu niemieckiego będzie musiała się cofnąć nie tylko do granic z 1 września 1939 r., lecz jeszcze dalej, zwracając narodowi polskiemu te ziemie, które imperializm niemiecki w czasie wielowiekowego swego „Drang nach Osten“ wydzierał Polakom. Dużej i moźolnej pracy będzie wymagała odbudowa gospodarcza kraju, ale możemy mieć nadzieję, iż w perspektywie czasu ujrzymy gospodarczą mapę Polski, ilustrującą kwitnący dobrobyt pokojowo pracującego ludu.

Niewspółmiernie trudniej będzie jednak powetować te wszystkie straty, jakie poniósł i stale jeszcze ponosi sam Naród Polski. Za nasze straty kulturalne będą musiały zapłacić same Niemcy, zwracając nam nasze zbiory artystyczne i naukowe, urządzenia naukowe, a to co zostało zniszczone, zastąpić zbiorami i urządzeniami własnymi. Długich jednak lat czasu oraz bardzo wytrwałej pracy trzeba będzie, aby wychować i wykształcić nową liczną warstwę wykształconych i inteligentnych ludzi, sposobnych do twórczej pracy na kierowniczych stanowiskach w zakładach naukowych, urzędach państwowych, instytucjach gospodarczych.

Nie ma jednak ceny dla opłacenia żyć ludzkich. I nie ma takiego wielkiego zadośćuczynienia, którym Niemcy mogliby zmasać swoje winy wobec narodu polskiego; i nie ma takiego wielkiego zadośćuczynienia, którym Naród Zjednoczone mogliby wynagrodzić Polaków za to, iż ci pierwsi zgodzili się przyjąć nierówną walkę w obronie nie tylko swojej własnej, ale i całej Europy, a nawet całego świata, przeciwstawiając się imperializmowi niemieckiemu, gotującemu niewolę dla wszystkich narodów. To też naród polski nie żąda pełnego zadośćuczynienia, albowiem za ofiary te nikt mu nie jest w stanie tego zadośćuczynienia udzielić. Ale zato żąda pełnego uznania swoich słusznych praw, przypieczętowanych ofiarcie przelaną krwią — praw do tej ziemi polskiej, na której już tysiąc lat naród ten mieszka, jako jej jedyny, niepodzielny pan.

GRANICE KRWIĄ RYSOWANE

Cieżko krwawi mapa polska, rozdarta przez okupantów i pełna ropiejących ran. Zmienił się wygląd tej mapy. Zdawałoby się, że na niej wszystko się zmieniło. Ale napewno nie udało się okupantom zmienić jednej rzeczy — ducha narodu. I dlatego chociaż podjęta walka była nierówna, naród polski ani jednej chwili nie zwątpił w swe ostateczne zwycięstwo. I dlatego naród polski, pobity w otwartym polu, przemiósł swą walkę do podziemia i tam ją nadal prowadzi. Ten duch narodu jest źródłem niewyczerpanego zasobu sił, które pozwalają Polakom wszystko przetrwać i które umożliwiają nam stanąć po wojnie do moźolnej pracy, aby odbudować wszystkie zniszczenia, aby wypełnić nową bogatą treścią mapę Polski.

Jeszcze nie jeden raz cudze, wraże ręce będą wyciągały się do tej mapy, — jak już dziś się wyciąga, — aby ją znów rozdrzeć. Ale nie uda się jej zniszczyć, bowiem jej granice były krwią rysowane wielokrotnie w dziejach narodu polskiego. A i w obecnej wojnie w czasie kampanii wrześniowej żołnierze polski jeszcze raz krwią swoją znaczą granice mapy Rzeczypospolitej Polskiej. Tak kreślona była ta mapa na północy: na wybrzeżu morskim w czasie obrony Helu, w Gdańsku podczas walk na Westerplatte, w Prusach Wschodnich w czasie zagonów brygad kawalerii polskiej; na zachodzie, gdy mieszkanki ziem kresowych samorzutnie broniły granic Polski, organizując bataliony obrony narodowej; na południu w czasie raidu kawalerii polskiej na Przemysli i podczas bohaterstwa obrony Lwowa; na wschodzie, gdzie jeszcze w październiku 1939 r. armia generała Kleberga odnosiła zwycięstwo za zwycięstwem w nierównej walce z silniejszym od siebie przeciwnikiem, walcząc na Polesiu.

Ta krwawiąca mapa Polski jest również ucieleśniona w szeregach Armii Polskiej, walczącej poza granicami Kraju. Bo czymże innym są nazwy jednostek Polskich Sił Zbrojnych?

JULIAN TUWIM

Z „KWIATÓW POLSKICH“

Wierszu mój, w kłescie, w bólu wszczęty!
Wężyko zamorskiego chowu!
Z kwiatów żeś powstał, pstry i kręty,
I w kwiaty się obrócisz znowu.
Jak sztukmistrz, co z cylindra głębi
Wyciąga wielobarwne wstęgi,
Wiązanki róż, rzucane damom,
Królików parkę lub gołębi
I szklankę wina — ja tak samo
Pod słów zaklęciem czarodziejskim,
Spod podwójnego dna pamięci,
Z głębi serdecznej i letniejskiej
Dobrym pasma dni kwiciste...

...Był sobie niegdyś bukiet wiejski...
„Bukiety wiejskie, jak wiadomo,
Wiązane były wżwyz i stromo...“
Już mi ten dwuwiersz mży legendą...
Już się śród jego liter przęda,
Śloneczne nitki żalu, marzeń...

...Był jakiś ogród snów szumiących
I róż, jak wróż... I to rozjarzeń,
To gasnień znow... I wzruszeń drżących
(Ach, tak się kocha po raz pierwszy!...)
Był sobie...

Nagle wzrok przezierny
Śród kwiatów dostrzegł ludzkie twarze —
I patrzył: z za gęstych sztachet wierszy
Rozbłysły wielkie oczy zdarzeń.
TAM SA JUZ LUDZIE!... Ach, nieszczęśny,
Gorliwy uczniu czarnoksięski!
Przebrałeś czarodziejstwa miarę!

Ach, wierszodzieju zatracony,
Coś ty rozpętał swym szalonym,
Magicznym drążkiem firmy Parker?
Za sztachetami gęstych jambów
Grzmi burza losów, serc, pożądań...
Patrz!

Patrzę. Tak do rajy wglądał
Ciekawy swoich stworzeń Pan Bóg.

JÓZEF NOWAK

KIEDY POLACY WALCZYLI NA SYCYLII*)

„...Ze przez wycierpiane męki, wytrwałość i nieśmiertelność nadziei Polska jest siostrą Italii a świętą między narodami...”

(Z dekretu triumwiratu dyktatorów Republiki Rzymskiej (Mazzini — Saffi — Armellini) z dn. 27 kwietnia 1849 r.).

Polska krucjata włoskiej wolności

Wczesną wiosną r. 1848 generał Ludwik Mierosławski stał u burty okrętu francuskiego i wpatrywał się w bielejące z dali brzegi Sycylii, nowego etapu swej epopei rewolucyjnej.

Były to czasy, kiedy romantyczny poryw wolności wynosił na tarczach rewolucji poetów — mistrzów słowa, wieszczów polityki, natchnionych proroków strategii powstańczej. A za przewodem poetów szli ci najromantyczniejsi — polscy błędni rycerze wolności, których burza roku 1831 rozniosła po świecie całym, niby ziarna wiecznego buntu przeciw wszelkiej niewoli narodu i człowieka. Oni to przeciwstawili hasłu Francji Orleańskiej, hasłu zdrady ideałów roku 1830, owemu słynnemu „enrichissez vous” (bogaćcie się) — jakże niepraktyczne, jakże prowokacyjne: „gdzie źle, tam ojczyzna”. Bohaterowie Nocy Listopadowej, żołnierze roku 1831, szli wszędzie, gdzie panowało zło przemocy. Wierzyli w wolę narodu niemieckiego do wolności i szli zamachem frankfurckim (3 kwietnia 1833) budzić uspione Niemcy — napróżno. Nadstawiali piersi na barykadach głodnego Lyonu. Siostrą w cierpieniu były im Włochy od wieków rozdarte, ujarzmione, służące interesom obcym, budzące się teraz do wielkiej epopei swego Risorgimento. Tak jak Polska, Włochy odnajdywały wolność tylko w spisku lub wygnaniu. I w spisku i wygnaniu łączyły się losy Włoch i Polski. Myślim Adama Mickiewicza, mądrym wywodom Joachima Lelewela wespółdziewiczący idee Giuseppe Mazziniego. W ventach Carbonarich (Węglarzy) nazwiska włoskie przepływały się z polskimi. Wyrosła z ruin Namiotu Powszechnego Węglarzy, na wolnej ziemi Szwajcarów, woła Mazziniego dźwignięta w r. 1834 Młoda Europa łączyła Młode Włochy i Młodą Polskę jako ostoje przyszłej światowej federacji republikańskiej. Z Młodej Polski, ze zgodnego akordu idei Lelewela, Mickiewicza i Mazziniego narodził się później Stowarzyszenie Ludu Polskiego, które rozgorzeje płomieniem entuzjazmu Szymona Konarskiego. A przedtem jeszcze, gdy w styczniu r. 1834 Mazzini z Szwajcarii zamierzył uderzyć w niewolę Włoch, do dyspozycji jego stanęło 500 ludzi liczący polski Hufiec Święty.

Weterani Nocy Listopadowej widzieli się Hufcem Świętym, bo tak jak niegdyś krzyżowcom święta była ich sprawa, tak oni teraz szli wyzwalać Jerozolimę wolności w każdym ujarzmionym narodzie. I tak jak wódz krzyżowców Gotfryd de Bouillon niegodnym się mienił korony królewskiej tam, gdzie Chrystus cierniową nosił, tak wódz Hufca Świętego, Henryk Oborski, idąc do walki o wolność i równość ludów, kazał się zwać zaszczytnym mianem „żołnierza — naczelnika”.

Z ziemi polskiej do włoskiej

W pierwszych wioskach granicznych Sabaudii załamała się Polska krucjata wolności włoskiej — tak jak partyzantka Józefa Żaliwskiego w Polsce, owoc żłudzeń, że własne pożądanie wolności, własna wizja przyszłości są rzeczywistością społeczną. Ale raz nawiązane braterstwo idei czynu przetrwało porażkę. I gdy podziemny dreszcz buntu, wybiegły znów z Polski w r. 1846, dobiegł Europy Zachodniej i wstrząsnął nią Wiosną Ludów, u boku irredenty włoskiej, w szeregach powstańców i w szeregach armii Piemontskiej króla Karola Alberta znów stanął Polacy. Naprzód Adam Mickiewicz porwie za sobą garstkę artystów polskich, którzy w kwietniu roku 1848 wyjdą z Rzymu, by w swym marszu przez Florencję, Bolonię, Modenę ponieść Włochom symbol Legionu, z ducha Lelewela i Księgi Pielgrzymstwa zrodzony. Do pomocy Polaków apelować będzie Republika Wenecka w odezwie swego wodza Nicola Tomaseo. Później, po opadnięciu fali powstańczej w Polsce, napłyne nowa fala młodzieży polskiej z dużym odsetkiem ochotników żydowskich. Tryumfalnym marszem przejdą oni przez Niemcy i Francję, by w pierwszych miesiącach roku 1849 trzema kolumnami (razem 480 ludzi) wkroczyć do Włoch i pod wodzą przyjaciela Mickiewicza, surowego republikanina p. Mikołaja Kamińskiego, nadstawiać piersi Austriakom pod Lonato, Deszenzo, ginąć w ariergardzie odwrotu z pod Brescii.

Kiedy porwany nowym zrywem powstań Karol Albert 12 marca 1849 r. znów podejmie przegraną wojnę z Austrią, naczelnym wodzem wojsk włoskich w Lombardii zostanie gen. Wojciech Chrzanowski. Chrzanowski, do bry żołnierzy, nie rozumiał jednak strategii re-

Mierosławski w 1849 r.

wolucji i powstań, jak to mu później Mickiewicz w „Trybunie Ludów” wytykał. Było zresztą zapóźno. Siły powstania wyczerpywały się. Chrzanowski nie zdołał powstrzymać kłeski — nieszczęsna bitwa pod Novarrą 22 marca, w której dowodził, i podpisana przezeń kapitulacja na lat 10 przypieczętowały walkę dynastii sabaudzkiej o zjednoczenie Włoch.

We Włoszech nie winił go nikt, ale tryumfująca w porażce własnego kraju reakcja zwróciła się przeciw legionistom polskim. Ze strony polskiej już przedtem złą, podstępna gra hamowała ich zryw bojowy hr. Władysław Zamojski, wówczas, jak i w r. 1854-5, rozbijacz planów Mickiewicza. Ustami polskiego niegdyś gen., Girolamo Ramorino — tego samego, który w r. 1831 swą zdradą (czy równą zdradzie opieszałością) wbił ostatnie gwoździe do trumny powstania listopadowego, który w r. 1834 Hufiec Święty zdradzał, a w r. 1848, stał się głównym sprawcą porażki pod Novarrą — wdzięczny rząd sabaudzki zażądał... zapłaty za mundury od tych, którzy je w służbie sabaudzkiej, w wojnie o wolność i zjednoczenie Włoch krwią własną zbroczyli.

Pro salute Libertatis Romanae

Niezaślęgo Ramorino śmiercią z wyroku sądu polowego przypłacił swe zdrady i podłości, a skrwawiony legion polski na własne żądanie pójść na nowy front — do proklamowanej 9 lutego 1849 r. Republiki Rzymskiej, dokąd ich wzywał wierny przyjaciel Polski Giuseppe Mazzini, stojący teraz na czele triumwiratu dyktatorów. Pułkownik Kamiński poprowadził swój legion pod komendę bohaterskiego Giuseppe Garibaldiego, z którego imieniem odtąd w dziejach Risorgimento zawsze się będą wiązały imiona polskie. I tu, w obronie wolności włoskiej, przyszło Polakom po raz pierwszy zmierzyć się z Francuzami — z ekspedycją gen. Oudinot, z krógu rzucił na Rzym rozkaz prezydenta Ludwika Napoleona Bonaparte, na trupie Republiki Francuskiej wznoszącego tron drugiego cesarstwa. W obronie Świętego Miasta (kwiecień — lipiec), legion polski zawsze stawał na najniebezpieczniejszej pozycji i 3 czerwca bohaterskim kontratakiem odparł omal że nie zwycięskie natarcie gen. Oudinot'a. Gdy załamała się Republika Rzymska, legion polski wyjdzie wraz z Garibaldim, w nieustannej walce przebijając się do Adriatyku, by ująć na nową tużączkę — do Grecji, gdzie postawili za sobą budowniczych młodego kraju, potem do Turcji, gdzie się połączy z weteranami powstania węgierskiego.

Il condottiere dei Popoli

Na polach bitew o niepodległość Włoch nie mogło zabraknąć i najromantyczniejszego z wodzów Wiosny Ludów, fanatycznego proroka rewolucyjnej improwizacji. Okrytego szawą więźnia Moabitu, zwycięzonego ale nie złomnego wodza powstania poznańskiego, pozyskał sobie w Paryżu przedstawiciel powstającego rządu sycylijskiego przy rządzie Republiki Francuskiej, Giuseppe La Farina.

Gen. Mierosławski jechał na Sycylię, by objąć dowództwo sił zbrojnych zbuntowanej wyspy, zagrożonej przez wojska niedawnego swego władcy, Ferdynanda II Bourbona, Króla Obojga Sycylii i Jerozolimy.

Mierosławski jechał bronić Sycylii. Sycylii, czarującej pięknem swej ziemi, zabytkami swej kultury, na którą złożyły się wszystkie ludy, wszystkie fale historii, przewalające się morzem Śródziemnym, — plemina iberyjskie i italskie, koloniści greccy i kupcy fenicyj, Rzymianie i Bizantyjczycy, zdobywcy arabscy (IX—X w.) i normalscy (XI—XII w.), dynastie niemieckie (XII—XIII w.), francuskie (XIII—XV w.) i hiszpańskie (XV—XVIII wieku), Habsburgowie (1713 — 1735) i Bourbonowie (1735 — 1860). Sycylii, która w harmonijną jedność stopiwszy wszystkie nawarstwienia kulturalne, poprzez swoje uniwersytety w Salerno i Amalfi odrodziła średniowieczną medycynę i prawo europejskie, która wydała takie postaci, jak normanńskiego króla Rogera II, półgreka i półaraba, jak cesarza Fryderyka II (1197 — 1250), półniemca i półwłocha, jednego bodaj w dziejach Niemca sceptyka i kosmopolitę, który nauce arabskiej i greckiej hołdował, a w rządach swych tworzył wzory dla absolutnego państwa biurokratycznego.

Prekursor Amgotów

Ale ta Sycylia, którą witał Mierosławski, nie była już ziemią, która na najazd i niewolę odpowiadała buntami niwolników (134—132, 104 przed Chr.) i Nieszporami Sycylijskimi (1282). Serie najazdów, wieki obcego panowania złamały jej starą kulturę, odcużyły od wolności i walki o wolność — dały jej absolutyzm i biurokrację, arystokrację w Paryżu

i Neapolu, przejadającą czynsze, wydzierane głodnym ziemi i chleba chłopom pańszczyźnianym, mieszczaństwo i inteligencję marniejącą bez pola do pracy, ciemnotę, zabobon, obojętność mas na sprawę wolności. Prawda, i ta Sycylia miała do zanotowania chwile weselsze. Nie wywalczyła ich sobie, nie dorobiła się ich — dała je obca ręka, nowa okupacja. W roku 1806 Ferdynand I Bourbon (1759—1825) uciekł na Sycylię, pozostawiając Neapol zwycięskim wojskom Napoleona, a tron swój — jego bratu Józefowi Bonaparte (1806—1808) i następcy tegoż, zawiądzającemu generałowi Joachimowi Murat (1808—1815). Wygnany król oddał się pod opiekę floty angielskiej, która okupowała wyspę (1806—1815), by w rękach brytyjskich utrzymać żeglugę na morzu Śródziemnym i udaremnić wszelkie próby wzniesienia francuskiej inwazji na Egipt. Królestwem Ferdynanda I oddawna rządził nie on, lecz zły duch Neapolu, demoniczna królowa Karolina, córka cesarzowej Marii Teresy, zjadły wróg Francji i idei wolnościowych, która na swoich poddanych wywierała krwawą zemstę za śmierć Marii Antoniny. Dopiero w r. 1811 lord William Bentinck, gubernator wojenny Sycylii, pierwszy wielki rzecznik wolności Włoch, twarzą ręką zahamował bezprawie i w r. 1812 narzucił Bourbonom konstytucję, wzorowaną na ustroju angielskim. Przetrwała ona niedługo — już w r. 1815 Ferdynand I zamał ją, powróciwszy do Neapolu, ale stała się ona wzorem dla Republiki Hiszpańskiej r. 1820 i w hiszpańskiej przeróbce powróciła do Neapolu w rewolucjach r. 1820-21 i 1848-49.

Bezsilna rewolucja

Te krótkie lata pierwszego „Amgotu” nauczyły Sycylię posmaku wolności. Pierwszy zryw zakończyły salwy egzekucyjne w Messynie (sierpień r. 1847), ale już 12 stycznia r. 1848 Palermo bucha nową rewoltą, która przerzuca się na Neapol i zmusza Ferdynanda II (1830—1859) do kapitulacji politycznej. Ale Sycylia nie chciała ustępstw, nie chciała praw z łaski królewskiej — chciała własnej wolności, opartej na niepodległości. Wołą swobodnie obranego parlamentu proklamowała detronizację Bourbonów (13 kwietnia 1848), przywróciła sobie rozszerzoną konstytucję z r. 1812 (10 lipca) i wzywała na tron hr. Genui, Alberta Amadeusza Sabaudzkiego, drugiego syna Karola Alberta.

W chwili, gdy Mierosławski przybywał, wzywany rozpaczliwymi listami La Fariny, wówczas już ministra wojny, sytuacja przedstawiała się niewesoła. Uparty separatyzm sycylijski uniemożliwił połączenie sił przeciw Ferdynandowi II, oddał mu w ręce zwycięstwo nad zrewoltowanym Neapolem, a walczącym z Austriakami Włochom północnym odbierał pomoc Włoch południowych. Już latem r. 1848 było jasne, że nadchodzi chwila ataku reakcji na Sycylię. A Sycylia była bezsilna. Arystokracja, niechętna rewolucji, parła do ugody z królem. Inteligencja i mieszczaństwo chciały walki, ale nie miały oparcia w masach. Nędzarze „metatieri”, którym czynsze do 3/4 zbioru pochłaniały, biedni gorale-pastuchy, dali powstaniu swe najlepsze siły, ale napróżno czekając reform nie politycznych ale społecznych, obojętnieli dla sprawy Wolności. Koła machiny parlamentarnej obracały się w powietrzu. Długie lata pokoju odcużyły Sycylijszczyków od wojny — pozostawiali ją na jejnej gwardii szwajcarskiej swego króla. Brakło oficerów, brakło broni i amunicji, brakło woli walki. Przez cały rok wolności po pierwszym zrywie rewolucyjnym Sycylia nie potrafiła postawić na nogi armii i zadowalała się słamazarą Gwardią Narodową. Kiedy w sierpniu r. 1848 gen. Carlo Filangieri ładował z 24.000 wojska w oparciu o wciąż jeszcze trzymającą się cytadelę Messyny, prezydent Ruggiero Settimo, stary dymisjonowany admirał, zdołał wysłać mu naprzeciw zaledwie 1.200 źle uzbrojonych i niewyćwiczonych żołnierzy pod wodzą p. Lamasa. Straszliwa rzecz Messyny ocalała przeciw na chwilę powstanie sycylijskie, powodując interwencję Anglii i Francji i zawieszenie działań wojennych przez wojska neapolitańskie. Ale Sycylia, mimo beznadziejnego położenia, nie chciała nawet tak zaszczytnej kapitulacji, jaką jej za pośrednictwem lorda Minto ofiarowywał Ferdynand II. W marcu r. 1849, w chwili przybycia Mierosławskiego, wojna rozgorzała na nowo.

Obrona Sycylii

W takich właśnie chwilach Mierosławski okazywał się genialnym improwizatorem. W parę tygodni spod ziemi dobywał broń, zapasy i stawia na nogi 14.000 żołnierzy. Prawda, z tego zaledwie jedną trzecią uważać można za wojsko, — reszta to była rozpolitykowana banda, w polu dyskutująca rozkazy wodza, którego nie znała, i rozkazy oficerów, w których autorytet wojskowy słusznie nie wierzyła. Jedyną siłą, której Mierosławski mógł być pewien, stanowiła Legia Ochotnicza, złożona

z Francuzów, Polaków i garstki Anglików. Wyróżniał się wśród nich awanturniczy p. Hugh Forbes, który wraz z Polakami bił się na pomocy, a teraz poszedł pod rozkazy Mierosławskiego.

Drugiego kwietnia Filangieri zdobył Taorminę i zwolna posuwał się na Katanię. Tam 7 kwietnia natknął się na armię Mierosławskiego — 3 baony piechoty, jedną baterię artylerii polowej i jeden szwadron jazdy, — razem zeledwie 3 tysiące ludzi przeciw 20 tysiącom Neapolitańczyków. Mierosławski zdołał poderwać swą improwizowaną armię, ataki Filangieriego odpięła zaciekłymi kontratakami, — tak jak niedawno swych kosynierów rzucił na armaty pruskie. Uległ jednak liczbie i przewadze uzbrojenia przeciwnika. Resztki armii sycylijskiej cofały się na Palermo, by tam na barykadach miasta przyjąć ostatnią bitwę. Już nie w polu. Mierosławski zbyt krótko dowodził: armia, nie zdążyła jej sobie pozyskać, nie zdołał też powstrzymać rozprzeżenia. Nie mogąc już dowodzić jako generał, jako prosty żołnierz bił się na barykadach, a ciężko ranny w szyję, musiał opuścić pole walki. Wierni towarzysze broni wywieźli go z Sycylii do Paryża, skąd z niezaleczoną jeszcze raną podążył do Karlsruhe, by 8 czerwca stanąć na czele polskiego sztabu rewolucji niemieckiej. Tymczasem Palermo padło 15 maja po kilku tygodniach bohaterskiej obrony. Tylko w górach długo jeszcze trzymał się z garstką partyzantów kapitan Jerzmanowski, ostatni obrońca niepodległości sycylijskiej.

Czerwone koszule

Raz jeszcze przyszło Polakom bić się na Sycylii o wolność i zjednoczenie Włoch. Upadek bowiem powstań 1848/49 nie zerwał więzów braterstwa broni. Centralizacja Tow. Demokratycznego Polskiego w Londynie znów weszła w kontakt z Mazzinim i żywy udział brała w pracach założonego przezeń w r. 1850 Centralnego Europejskiego Komitetu Demokratycznego. Mazzini umożliwił Polakom rozwinięcie akcji propagandowej, pomagając im zebrać potrzebne na ten cel fundusze. W ścisłym z Włochami kontakcie pozostawał Joachim Lelewel, kiedy w r. 1852 planował wielkie powstanie europejskie. Nici porozumienia z Władysławem Zamoyskim nawiązywał Cavour podczas Wojny Krymskiej, kiedy wojska sardyńskie były się pod Sebastopolem.

A kiedy 5 maja r. 1860 Garibaldi wyruszał z Genui na pomoc Sycylii, buntującej się przeciw spadkobiercy „króla bomb”, Franciszkowi II (1859—1860), w szeregach jego obok kawalerii węgierskiej, obok angielskich „blue jackets” (marynarzy), którzy ku oburzeniu dyplomacji europejskiej odpoczynek urlopowy spędzali u armat, zdobywanych na Neopolitańczykach, znów pojawiają się na Sycylii ochotnicy polscy. Nie zabraknie Polaków i wśród Tysiąca Czerwonych Koszul, które 22 sierpnia 1860 pod wodzą Garibaldiego ruszyły z Sycylii wyzwalać Neapol, tak jak nie zabrakło Polaków i w Lombardii, w sławne dni Solferino (24 czerwca 1859 r.), które przypieczętowały koniec tyranii austriackiej.

Cavour spłaca dług

Sława o Mierosławskim długo jeszcze przetrwała na Sycylii i jeszcze pod koniec wieku XIX w. niejednym domu portret jego widniał obok portretu Garibaldiego. Jemu samemu parę jeszcze razy przyszło wspomnieć dni walk na Sycylii. Rewolucyjny generał nie gardził autoreklamą — między kampanią sycylijską i badenską zdążył wydać broszurkę p. t. „Relation de la campagne de Sicilie” („Relacja o kampanii sycylijskiej”, Paryż 1849) i później jeszcze, w notatkach wydanych dopiero po jego śmierci („Appendix à la relation de la campagne de Sicilie” — „Dodatek do sprawozdania o kampanii sycylijskiej”, Paryż 1880), myślą do spraw tych powracał. Ale ważniejszą rolę odegrały te sycylijskie wspomnienia w prehistorii powstania styczniowego. Było to wtedy, kiedy pod auspicjami włoskimi Mierosławski formował Legion Szwajcarski do walki z caratem, a potem z hr. Cavour, twórcę zjednoczonego królestwa włoskiego, rokował o polską szkołę podchorążych. Cavour nie szczędził komplementów kondotierowi wolności i w trakcie rozmowy napomknął przypochlebnie, że wodzowi walk o niepodległość Sycylii, rannemu w jej obronie, należy się nie tylko wdzięczność Włoch, ale i bardziej konkretny jej dowód w postaci emerytury generalskiej. Mierosławski komplementy zarachował na rzecz sprawy polskiej, a co do pensji generalskiej — poprosił o jej przekazanie na planowaną szkołę podchorążych. Cavour z szacunkiem skłonił głowę przed polskim generałem. Za jego tajnym poparciem politycznym i pieniężnym powstała szkoła w Genui (później w Cuneo), która powstańcom styczniowemu dała sporą garść instruktorów. Mierosławski nigdy o tej rozmowie nie wspominał, przyczek bowiem tajemnicę Cavourowi, któremu chodziło o zachowanie pozorów neutralności wobec Rosji i Prus; dopiero po jego śmierci, na parę lat przed śmiercią własną, opowiedział swym przyjaciółm, jak obroną Sycylii w roku 1849 przyczynił się do sprawy powstania roku 1863.

*) Wobec braku materiałów w bibliotekach jerozolimskich autor zmuszony był ograniczyć się częściowo do danych swojej pamięci. Stąd też możliwe, omyłki, zważszcza w uszeregowaniu faktów.

HENRYK GIELDZIŃSKI

Z PODRÓŻY PO AFRYCE ZACHODNIEJ

Puszcza Ashanti

Kierowca prowadzi jak nieprzytomny. Mam na swoim sumieniu na przestrzeni 170 mil: 7 kur, dwie kozy, potrącamy starą murzynkę, ocieramy błotnik o ciężarówkę. Jest duży ruch na szosie przybrzeżnej. Pełno „mummy bus'ów”, z którymi nasz czarny szofer ściga się zawzięcie. Te „mummy bus'y” (poćiężarówka z dachem i ławeczkami, z tytu przyczepką na pneumatykach, naładowana produktami lasu) zrewolucjonizowały życie Afryki. Członek plemienia, którego zakres zainteresowań życiowych nie przekraczał promienia kilku kilometrów, który nigdy nie stykał się z innym plemieniem, — nagle znalazł się po przeprowadzeniu drogi w miejscu przepływu nieznanego mu uprzednio produktów, zobaczył ludzi, mówiących innym językiem i o innych obyczajach. „Mummy bus” skrócił nieprzebywaną dla niego uprzednio przestrzeń do paru godzin. Energiczniejsze jednostki skierowały się do osad, gdzie łatwiej zarobić i gdzie można wydać pieniądze. Więc szczerpa istota życia tubylcza uległa rozluźnieniu. Powstał międzyplemienny proletariatus, gdzie nieraz piękną tradycję plemienną zastąpiło śmieszne małpowanie człowieka białego. Nie zawsze ci biali reprezentowali piękne ideały europejskiego chrześcijaństwa, stąd nieprzyjemny typ murzyna-kombinatora w takich miejscowościach jak Acora, czy Lagos.

Z szosy nadbrzeżnej skręcamy na północ. Pojedyncze drzewa, kępy drzew, wreszcie puszcza zielona, zielona puszcza tropików staje nad drogą. Drzewa-olbrzymy, kępy bambusów i krzewy zdają się czyhać, by zdusić wąskie pasmo drogi. Zdala widzimy grupę ludzi pracujących. Samochód staje. Olbrzym leśny leży powalony wczorajszym tornado. Na nim, jak na Guliwerze, czarne postacie murzynów. O usunięciu drzewa mowy być nie może. Od rana czarni z siekierami i piłami starają się wybić w nim otwór dla przepuszczenia ruchu. Czekamy jeszcze blisko dwie godziny, nim kawałek pnia ważący z 10 ton został wycięty i przetoczony przez kilkudziesięciu ludzi na skraj szosy.

Spędzam te dwie godziny chodząc po farmie kakao. Drzewka są nieduże, koloru szarawo-zielonego z plamami jakby pleśni. Owoc kakao o formie dużego wrzeciona wyrasta z pnia i gałęzi, poprostu z każdego miejsca na drzewku.

Owoc dojrzawy jest żółty, niedojrzały — zielonkawy. Jesteśmy w pełni zbiorów. Czarne postacie pracują koło drzewek. Murzyn odrywa owoc. Przecina go machetem. Zawartość — białawy miąższ i duże fioletowego koloru grochy są wsiypywane do płytkiego dołu. Gdy dół jest zapełniony, zakrywa się go liśćmi. Za 7 dni ta dziwna papka fermentuje. Grochy się oddzielają, są zbierane i suszone na długich stołach we wsi. Przejżdżając przez wsie, czuje się bardzo charakterystyczny i nieprzyjemny zapach kakao. Po wysuszeniu pozostaje tylko wysypać grochy do worków. Jak zrobić z tego czekoladkę — pozostaje słodką tajemnicą Wedla. Murzynów to nie interesuje. Te niepozorne drzewka, to największe bogactwo Gold Coast. 40% kakao świata produkuje puszcza, przez którą jade. Kakao nie pochodzi z tego kraju. Zostało to importowane przez przedsiębiorczego murzyna Tetteh Quarchie z wyspy portugalskiej Fernando Po. Widział on tam te drzewka i zasadził jedno w swej rodzinnej wsi Mampong w 1879 r. Dziś produkcja kakao wynosi 250.000 ton i blisko milion akców puszczy jest pod jej uprawą.

Puszcza jest podmokła. Ściana bambusów jest zupełnie nieprzenikliwa. Nie widać żadnego zwierzęcia czy ptaka. Tak byłoby przyjemnie zobaczyć jedno z tych zwierząt, które tłumnie przechadzają się na ekranie w „Trader Horn” czy różnych wersjach „Tarzana”. Jesteśmy niewątpliwie w ich kraju, jest tylko jedno nieszczęście, jedziemy szosą. Wszystko co żyje w Afryce unika człowieka. Czarny je każde zwierzę, nie wylęcając węży czy koników polnych, i dlatego strach przed nim jest pierwszym prawem puszczy. Wiem, że słoń, pantera, byk wodny i setki innych gatunków zwierząt i małpoludów przechadzają się i pozerają się wzajemnie nie tak daleko od czerwonej szosy. By je jednak zobaczyć, trzeba iść na dwa tygodnie w puszcę z 15 tragarzami. Spieszmy mi się i nie mam tragarzy — nie zobaczę zwierząt.

Droga prowadzi przez pasmo wzgórz. Po lewej stronie przeraźliwie zielony jar. Po prawej góra porośnięta mahoniami, cedrami, orzechowcami i setkami gatunków drzew o pięknych miejscowych nazwach, Purouvo, Ya-Ya, Mahube, Opampam. Drzewa są wysokie. Walczą o światło w puszczy. Słabsze drzewa przylatują się do wielkoludów i prawie zrasta się z nimi. Pnącze i liany tworzą taką gmatwaninę że trudno się zorientować, czy korona należy do tego czy innego drzewa. Drzewa nie lubią lian. Niektóre bronią się przed nimi. Zamiast kory drzewo najeżone jest kolcami od korzeni po samą koronę.

Las rzędnie i wjeżdżamy do stolicy puszczy Ashanti—Kumasi.

Kumasi

Około 1650 roku wielki czarodziej Okompfo Anokye polecił młodemu królowi plemienia Ashanti Osei Tetu, by ten zasadził dwa młode drzewka „Kuma” (gatunek cedru) i założył swą stolicę tam, gdzie jedno z tych drzewek przyjmie się i zakwitnie. Jedno z drzewek

uschło i do dziś miejscowość nazywa się Kuma awu (co w języku puszczy-fanti znaczy Kuma zmarłe), drugie drzewo zakwitło i miejsce, gdzie król Osei Tetu założył swą stolicę, nazywa się Kuma-si (Kuma żywe).

Okompfo Anokye był nie tylko wielkim czarodziejem i wizjonerem, ale również wielkim mężem stanu. Gdy jego młody król osiedlił się koło żywego drzewa Kuma, czarodziej nakazał bić w wielki tam-tam i zwołać do Kumasi wszystkich szefów plemion puszczy Ashanti wraz z ich żonami. Gdy dzień nadszedł, zasiadł pod drzewem Kuma Osei Tetu, obok niego stał siwowłósy Okompfo Anokye a wokół półkolem siedzieli szefowie szczerpów puszczy. Uroczystości zaczęły się tradycyjnie zabiciem stu niewolników. By nie krzyczeli przed ucięciem głowy, oprawca wbił im dwa noże w policzki, które unieruchomiły język. Gdy krew ostatniego niewolnika zrosiła polanę, wielki czarodziej wolnym krokiem udał się na środek, podniósł ręce do nieba i zastygł. Niebo nagle pociemniało, wśród grzmotów i błyskawic ukazał się w powietrzu złoty tron, który spłynął pod nogi maga. Znow słońce ukazało się na niebie. Mag podchodził kolejno do każdego szefa szczerpu i jego żony i ucinął im kosmyk włosów i paznokcie. Poczem zmieszał włosy i paznokcie z kwią zabitych niewolników i wtarł je mikszturę w złoty tron. Od tej chwili tron wchłaniał duszę szefów szczerpów a Osei Tetu, który na nim zasiadł, został wielkim królem puszczy Ashanti.

Przed swą śmiercią Okompfo Anokye przepowiedział, że gdy wielkie drzewo królujące nad Kumasi, nazywające się w języku fanti „Owawa”, padnie, biały człowiek podbije Ashanti.

„Biali ludzie przynosili”, — jak mówił jeden z królów Ashanti, Kwaku Dua—, „strzelby i armaty do puszczy, by zaważać jej złotem, ale puszcza silniejsza była od armat i strzelb”. Wszystkie zbrojne ekspedycje białych skończyły się fiaskiem.

Przez blisko 250 lat Asantihene (król Ashanti) rządził ze swego stolca puszcza i uncjował od białych strzelby za drogocenne uncje złotego piasku. Jego wojownicy zapuszczali się na wybrzeże i brali niewolników. Ten stan rzeczy uprzykrzył się w końcu białym. Ekspedycja karna w roku 1876, prowadzona przez Sir Garnet Wolsley'a, przebyła puszcę i zbliżyła się do Kumasi. W noc nadeszło Tornado i drzewo Owawa ugodzone piorunem padło.

Teheran, w sierpniu 1943 r.

W egzotycznym ogrodzie perskim wszystko dzieje się jak w tradycyjnej bajce. Szemrze cicho ark i podmywa pnie kasztanów, którym już liście zaczynają się złocić, rozlewa się wokół korzeni wiotkich, matowo-srebrzystych topól, tego tradycyjnego drzewa starej Persji, tylekroć słuszącego za tło isfahaskich miniatur i wzorzystych dywanów.

Hossein Habib, mój służący, wyznawca planowego lenistwa i uporczywie wzbraniający się nauczyć choćby słowa w obcym języku, siedzi opodal w cieniu drzew granatu i czyta poezję Hafiza. O tak. Bez poezji trudno mu przeżyć choćby jeden dzień. Mruczy do siebie poszczególnie strofy, a pomruk ten zmienia się czasem w lekką, tajemniczą melodię. Szkoda, że nie ma przy nim ha n u m, która by w pełni oceniła jego odczucie wielkiego poety. Jego chlebowadka przypadkiem wie, skąd pochodzi ów tom, czytany półgłosem: został on wczoraj pożyczony od pewnej hanum, będącej kucharką niedaleko mieszkającego inżyniera francuskiego. Hossein i owa hanum świadczą sobie nieraz uprzejmości.

Ta miła sielanka zostaje przerwana przez klakson samochodu. Maszyny nie widać, bo ogród, jak każdy porządny ogród w Iranie, jest otoczony solidnym wysokim murem, a nie jakimś nowoczesnym sztachetkami. Jednak ze znajomego zgryzotu hamulec można rozpoznać, że jest to auto księżnej A. D., córki i dziedziczki jednego z ostatnich szachów dynastii Kadżarów, zdekonizowanej przez dynastię, obecnie panującą. Księżniczka zwykle o tej godzinie przybywa do Teheranu ze swej letniej rezydencji w Szemranie, by załatwić parę niezbędnych spraw w prowadzeniu swych interesów majątkowych. Przypominam sobie, że mam załatwić z księżną jedną ze spraw gospodarczych, jako wynajmujący jeden z jej licznych domów, i podążam śladami samochodu, by się zobaczyć z jej właścicielką. Księżna jest dystyngowana dama, w wieku lat około 50, i stanowczo posiada rezolutno-handlowe podejście do wszelkich zagadnień materialnych. Rozmowa toczy się po francusku, w języku, którego księżna może nie opanowała w stu procentach, z władania którym jest jednak widocznie dumna. Czasem wyrwie się z jej ust krótkie, a wiele mówiące zdanie: „Quand j'étais a Paris...”. Tak, to były dobre czasy. Szach lubił podróżować po Europie, choć kasy skarbu państwa były puste. Jednak nigdy nie brakło usługom wierzących, którzy Muzaffar ed Dinowi służyli gotówką. Naprzykład rząd carski był pod tym względem niezmiernie uprzejmy. Wprawdzie potem dotyczyły się jakieś rozmowy o koncesje naftowe, ale tym już zajmowali się ministrowie, którzy i tak napewno na tych konwersacjach nie wychodzili stratni. Tak, to było dawno, a jakże, jednak te czasy były czarujące. Wzrok nasz pada na nowoczesną limuzynę księżnej. Tak, ta nowoczesność przywodzi na myśl twardą dzisiejszą rzeczywistość, tak daleką od delikatnych, półmongolskich motywów miniatur, zdobitych bransoletkę księżnej.

Z uprzejmości pytam się księżnej, czy ma wiele pracy. O tak, odpowiada, nieruchomości w Teheranie, młyn na południu, w stronę Kum, a poza tym majątki ziemskie w Gilanie. Gilan... a więc okupacja sowiecka. Okręg agitacji komunistycz-

Następnego dnia rano Sir Garnet wkroczył do Kumasi.

Oglądam fort wybudowany przez Sir Garneta. Jest to duży kwadrat z wieżyczkami strzelniczymi w wałach ubitych z gliny. Fort ten raz jeszcze przydał się. W roku 1900 gubernator prowincji Ashanti zażądał wydania złotego tronu. Chciał on w ten sposób zadokumentować, że biały człowiek jest władcą puszczy. Asantehene Pempreh odmówił. Gubernator oświadczył, że użyje siły. Nocy tej tam-tamy w puszczy zaczęły mówić. Od wsi do wsi szła wieść, że biały człowiek znieważał zakletą w tronie duszę Puszczy. Nad ranem uzbrojeni wojownicy zaatakowali dom gubernatora, który wraz z żoną musiał schronić się w forcie. Obłężenie trwało parę tygodni i posiłki z wybrzeża nadeszły w ostatniej chwili, by uratować załogę od śmierci głodowej. Gubernator został usunięty, Asantehene zesłany na Madagaskar. Złoty stolec zniknął w puszczy.

Asantehene Agyemon Pempreh II często je mnie whisky z sodą. Jestem w jego pałacu. Jest to człowiek w wieku około 35 lat, ma inteligentną twarz, mówi dobrze po angielsku (jest podpułkownikiem honoris causa i na jego piękne tkane, różnokolorowe tódze widnieje wstążka O. B. E.). Nie mówimy o przeszłości, ale o tym co się dzieje w puszczy dzieje. Produkcja kakao i złota, zakup dwóch „spitfire'ów”, to go interesuje. Pempreh II jest siostrzeńcem Pempreha I Wygnańca. Dziedzictwo tronu, jak i w ogóle dziedziczenie jest w linii matczynej — dziedziczy się po wuju. Nie pytam się go o złoty tron. Jest tabu i nie wolno o nim mówić.

Szofer musi mieć kurę

Wysyłam boy'ów wcześniej na ciężarówce, by mieli czas przygotować nam nocleg i kąpiel. Są bardzo zadowoleni. Gdy jadą w swej ciężarówce za nami, nie mają czasu zatrzymać się we wsi, ugotować kury, czy pozalecać się do murzynów. Teraz siedzą we trzech na naszych workach, zawierających walizki, łózka, siatki moskitowe, składane wanny i krzesła. Wszyscy trzej mają nieskazitelne białe „topee”. To odznaka, że są w służbie białych, a nie poprostu „bushman” (tak nazywają spodnie i topee murzyn nazywa pogardliwie swego brata z džungli). Objasniam szoferowi drogę i mówię, żeby nie robił postojów.

Gdy się wysyła czarnego szofera na trasę dłuższą niż 100 mil, trzeba poważnie roz-

LIST Z IRANU

nej w związku ze zbliżającymi się wyborami. Czy Votre Altesse otrzymuje stamtąd regularnie docho- dy, pytam niewinnie. Owszem, odpowiada księżna, zupełnie regularnie. A czy dawno tam była sama? Tak, dawno, wolimy wszyscy żyć w Teheranie. Wiem dobrze, co oznacza to słowo „wszyscy”. W rzeczywistości chodzi tu o dość liczną grupę posiadaczy ziemskich z Północy, którzy opuścili swe latyfundia z chwilą wmaruszu wojsk sowieckich do Iranu. Nie wszyscy oni są w równie szczęśliwej sytuacji, jak księżna ze swymi dochodami, a jednak uporczywie trzymają się strefy środkowej lub południowej. Fakt ich wyjazdu z Północy spowodował w rzeczywistości możliwość dość znacznych komplikacji społecznych na przyszłość. W feudalnym do dziś dnia systemie Iranu wielkie rody stanowią dotychczas trzon, wokół którego wszystko się obraca. Niezmiennie dobre stosunki wielkich rodów z duchowieństwem Islamu stwarzały ramy systemu, opartego na elementach tradycji, bierności i fanatyzmu religijnego. Dziś sytuacja poważnie się zmieniła w całym Iranie, a w prowincjach północnych w szczególności. Po raz pierwszy w dziejach Iranu zaczynają się budzić nowe siły, podsypane starannie z zewnątrz i, — co najważniejsze, — organizowane. Z reguły można powiedzieć, że wszelkie ruchy t. zw. socjalne na Wschodzie były skazane na niepowodzenie na skutek braku zdolności organizacyjnych warstw niższych. Sam pieniądź finansujący takie ruchy, a pochodzący z zewnątrz, jeszcze problemu organizacyjnego nie rozwiązywał, albowiem brak było niezbędnego w takich wypadkach czynnika kontroli i bezpośredniego, nowoczesnego kierownictwa. Otóż Iran dzisiaj przedstawia w szeregu wypadków obraz, w którym te dwa postulaty są bezwzględnie zastosowane. Niedawno w stolicy prowincji Chorassan, Meshhedzie, odbył się wielki meeting komunistyczny (Chorassan leży w okupacji sowieckiej na północno-wschodzie Iranu), na którym stwierdzono m. in., że irańska komunistyczna partia „Tude” jest największą partią polityczną w Iranie, a nawet w całej Azji. Trzeba przyznać, że jeżeli chodzi o sam Iran, to jest w tym sporo racji, oczywiście biorąc pod uwagę to, że w dziedzinie polityczno-organizacyjnej Iran znajduje się jeszcze w kolebce i że właściwie żadna partia nie przenika jeszcze w zupełności w głąb najszerszych warstw społecznych. W każdym razie powstaje już dylemat ideologiczny. Neutralny obserwator może sobie zadać pytanie, jaką ideologię może przeciwstawić komunizmowi ta część myśląca społeczeństwa irańskiego, która na lep hasła z Północy pójść nie chce? W tym właśnie leży może najpoważniejszy problem dzisiejszej rzeczywistości Iranu. Albowiem myślący ludzie zdają sobie sprawę z tego, iż dotychczasowy system tradycyjny, polegający przede wszystkim na momentach biernego trwania i wykorzystania filozofii leniwej niechęci do zmian, obecnie powoli, lecz nieuchronnie ulega procesowi kruszenia się.

„Kończąc moją rozmowę z księżną. Ludzie Wschodu, a szczególnie Persowie, są zbyt delikatni, by nazywać rzeczy po imieniu. Lecz w prze- lotnym zastąpieniu nobliwej twarzy księżnej można zauważyć tę troskę, która stanowi codzienny chleb rządzących sfer ojczyzny Cyrusa.

Jerzy Larren-Lenczowski

ważąc następujące możliwości: że nie dojedzie w ogóle, że pojedzie w inne miejsce i że zamiast przyjechać dzisiaj, przyjedzie za trzy dni.

Zakuję, że nie jedziemy t. zw. Safari — samochodem używanym przez farmerów amerykańskich zarówno gdy jadą z liczną rodziną do kina, jak do wozienia jarzyn. Safari to ideał w Afryce: bagaż, boy i „master” są zawsze razem. „Master” bez boy'a lub bagażu jest niewiele więcej wart w tym kraju, niż trzyletni berbec w Europie.

Venus przy toalecie

Jedziemy przez puszcę. Postój przy mostku zrzuconym przez niewielką rzekę. Rzeką płynie w tunelu zieleność. Wielkie drzewa złączyły swe korony a liany dokonały reszty. Niedaleko od mostu kaskada, wielkie drzewo padające spiętrzyło wodę. W rzece są krokodyle, ale ich nie widać. Pod kaskadą natomiast pięć młodych dziewczyn murzyńskich kąpie się. Są w pierwszej chwili wystraszone, ale widząc, że trzymamy się na „przywrotnym” dystansie, chichoczą i dalej pluskają się w wodzie. Jedną z nich jest wyjątkowo ładna. Ma ciało jak Venus z Milo, tylko wykonane z czarnego marmuru. Głowa kształtna o regularnych rysach. Jest zupełnie naga, na biodrach ma sznur pomarańczowego koloru koralików i czerwoną wąską szmatkę zakrywającą jej kobiecość. Widzi, że ją obserwuję, i chowa się po szyję w wodę. Te koraliki, to nieodłączny strój kobiety od dzieciństwa do śmierci — nie zostaje się ona z nim nigdy ani w dzień, ani w nocy. Szmatka jest czerwona „od uroku”.

Termity

Przyjeżdżamy. Zamieszkuję w „ulu”, a raczej chcę zamieszkać, bo oczywiście bagaż jeszcze nie nadjechał. Mam szczęście, mój Bobiface czerwony od kurzu zjawia się z wesołą miną przed samym zmierzchem. Szofer opowiada mi o „nawaleniu kichy” długą historię, której absolutnie nie wierzę. Ul jest bardzo prymitywny z glinianą podłogą. Bobiface przy- czeplia siatkę moskitową do bambusowego stropu, ustawia łóżko i grzeje mi wodę w bańce. Jestem zmęczony drogą i po marnej kolacji z puszek kładę się spać. Gdy rano budzę się, ściana mego ula tuż koło łóżka wydaje mi się jakby spuchnięta. Przyglądam się bliżej i widzę, że to termity zbudowały swój kopiec w ścianie chaty. Nie zauważyłem tego wieczorem przy świetle lampy naftowej. Dziś nie tylko widzę kopiec, ale słyszę pracę termitów w dachu „ula”. Cała moja chałupa, to jeden wielki kopiec termitów.

Cieszę się, że tego nie spostrzegł, gdy- my się kładł spać, mogłem mieć przykre sny.

Planuję małą zemstę. Mam trochę czasu przed dalszą podróżą. Wołam murzyna z motyką i dobieramy się od zewnątrz do kopca. Jest on około dwóch metrów wysoki (kopce w Gold Coast mają nieraz i 4 metry, a w Kongu są wielkości piętrowej kamienicy) ulepiony z czerwonej gliny. Termitów nie widać. Czarny uderza motyką. Natychmiast ukazują się kilkadziesiąt mrówek robotnic. Są żółtawo-szarego koloru, długości około 1½ cm. Za chwilę robotniczek znikają, a zjawiają się wojownicy. Są blisko dwa razy więksi od robotnic. Mają ciemno-brunatne głowy, przypominające hełm nurka, oraz potężne szczypce do ataku. Murzyn rozbija dalej kopiec. Tysiące termitów biega jak oszalałe po zniszczonym mrowisku. Kopiec jest solidnie zbudowany. Tysiące galerijek ulepionych z czerwonej gliny u szczytu i jakaś szarawa masa u spodu. To wylegarnia i śpichrz. Chcemy dostać się do królowej matki. Jest ona głęboko pod powierzchnią ziemi. Murzyn wygrzebuje duże kawy materii porowatej, rozrupuje ją rękami. Jest. Kawał twardej gliny wielkości pięści dorosłego mężczyzny o formie jajka. Kilka małych otworów po bokach i to wszystko. Patrzę zdziwiony na murzyna, który się śmieje i mówi „he be thee” (on tam być). Ostrożnie rozrupuje twardą skorupę — jest rzeczywistość. Ma głowę i tułów termita, a dalej galaretowata masa w formie serdelki o wielkości najmniej 6-ciu cm. Serdelek ma trzy czarne paski na grzbiecie — ślad, że dawniej był termitem. Drga on cały czas konwulsyjnie i widzę wyraźnie jak z końca odłwoka wychodzi strumień jajeczek. Nie wiem, jak leciwa jest ta „mama”, ale specjaliści twierdzą, że może ona żyć około 30 lat. Nie powiedzieli, ile miliardów jajeczek w tym okresie może wyprodukować. Życie jej jest smutne, zamknięte w swym więzieniu z gliny, które stanowi jednocześnie jej pancierz, jest karmiona przez mały otwór. Nigdy nie widzi swych dzieci, ani świata, z którego jej przynoszą pożywienie.

Mają słusność, ci, co twierdzą, że termit a nie człowiek jest biologicznym władcą Afryki. Gdy termit postanowi objąć jakieś miejsce w swe posiadanie, człowiek musi uciekać. Termit posiadać rzadką zdolność, dzięki bakteriom, które są w ich żołądku, trawienia drzewa. Ich pożywienie to drzewo. Termit jest w odróżnieniu od mrówek „wstydlivy”. Nigdy go nie widać. Jego delikatna skóra nie znosi słońca. Pracuje nocą i posuwa się z miejsca na miejsce krytymi korytarzami, które np. na drzewach prowadzi po powierzchni aż do najcięższych gałęzi.

Murzyn bierze z mej ręki królowę. Chwyta ją w swe palce i szybko połkna. Robi mi się słabo. Mam dość tych termitów na dzisiaj.

JERZY GAŁECKI

WARSZAWA—QUEBEC—WARSZAWA

CZTEROLECIE UDZIAŁU POLSKI W WOJNIE

Polacy ciągle jeszcze z własną krzywdą mierzą swój udział w wojnie długotrwałością kampanii wrześniowej i na ośmdeń dodają z jednej strony działania armii emigracyjnej we Francji, Norwegii i Afryce, a z drugiej bojowe wyczyny armii podziemnej w Kraju, o których ze względów konspiracyjnych nie można jednak tyle pisać, wiele są warte. Wobec ogromu wreszcie osiągniętych dzisiaj potencjałów wojennych Stanów Zjednoczonych, Anglii, Kanady, Australii, Rosji i Chin wszystkie polskie poczynania orężne oprócz kampanii wrześniowej ilościowo są znikomymi utarczkami i przez to prowadzić mogą do niedocenywania przez obcych udziału Polski w wojnie. Należy przeto z całym naciskiem zwracać główną uwagę na fakt, że Polacy jedyni od czterech lat prowadzą niezłomną wojnę cywilną, w której bierze udział cały naród, nie wyłączając kobiet, dzieci i starców. W czasie gdy w mundurach wojskowych chodzi około 10 milionów Amerykanów, około 5 milionów Anglików i Szkotów, kilka milionów Rosjan wraz z kilkudziesięcioma terytorialnie przyległymi narodami, miliony Chińczyków i t.d., a więc w czasie gdy dobrze ponad dwadzieścia milionów mężczyzn i kobiet pełni służbę wojсковą, by tak czy owak uczestniczyć w wojnie przeciw państwom związanym dotąd paktem antykominternowskim (tak), warto uprzytomnić sobie i obcym fakt, że 35 milionów obywateli polskich od 4 lat bez przerwy walczy dzień i noc przeciw okupantom i że nie ma chwili, aby śmierć im w oczy nie zaglądała.

Dopiero proporcja tych liczb, wzmocniona jeszcze przez zestawienie faktów, jak mało rzeczywistych „dni bojowych” przypada na owe miliony w mundurach, z faktem, że obdarte i zgłodniałe miliony Polaków od dnia 1. IX. 1939 maja w swym stanie służby wojennej ponad 1400 dni boju, dać może prawdziwą miarę wysiłku, włożonego przez Polskę w prowadzenie tej wojny. To samo przez się wystarcza, aby nikt nie ośmielał się traktować Polaków jako drugorzędnych kombatanów i jako jeden z małych narodów. Słowa Roosevelta, że „Polska jest natchnieniem narodów”, są hołdem, złożonym tej właśnie zażyłości narodu polskiego.

Wojna przewencyjna

Polacy lepiej niż inne narody rozumieli niebezpieczeństwo narastających zbrojeń niemieckich. Do roku 1933 polska siła zbrojna była większa od niemieckiej. Od tej daty z roku na rok, a pod koniec z miesiąca na miesiąc stosunek zmieniał się na naszą niekorzyść. My także robiliśmy pewne postępy, ale zbyt małe. Czy mogło być inaczej?

Obliczenia, przeprowadzone przez polskich specjalistów wojskowych i technicznych, wykazały, że dla jakiegokolwiek dorównania niemieckiemu tempu zbrojeń powinniśmy byli napóźniej od 1936 r. wydawać corocznie na przygotowania wojenne przynajmniej 10 miliardów zł, t.j. cztery razy więcej niż wynosił cały nasz budżet państwowy. Czy można było tę twardą prawdę ogłosić narodowi polskiemu, wszystkim dzieciom polskim i wszystkim półanalfabetom? Istnieją prawdy niebezpieczne. Ta do nich bezwzględnie należała. Położenie było bez wyjścia. Druga Rzeczpospolita Polska, powstała w 1918 r., znajdowała się w r. 1936 w wieku przedpoorowym. Naród chciał się bić, psychoza kosynierska, leżąca w tradycji polskiej, ogarnęła najcięższe nawet głowy. Rozwiązanie w stylu sukcesji Benesa—Hacha nie mogło się pomieścić nie tylko w sercu polskim, ale także w ramach polskiej racji stanu.

Od dnia, w którym proponowana przez Polskę wojna przewencyjna, a którą wówczas militarna Polska mogła sama wygrać, została odrzucona przez dyplomację zachodnią, od tego dnia dla Polski pozostało tylko trwanie, w oczekiwaniu dnia, w którym będzie musiała desperacko przyjąć wojnę jej narzuconą, wojnę, która nieubłagane z każdym rokiem groziła coraz większą katastrofą.

Zawarto sojusz z Anglią. Odnowiono z Francją. Trzeba wyraźnie stwierdzić, że te sojusze miały w owym czasie tylko wartość psychologiczną nadużywanego hasła „silni, zwarci i gotowi”, bowiem Francja i Anglia pod względem militarnym były bardziej opóźnione niż Polska. Rozumny Benes wolał wybrać upokorzenie monarchistyczne i emigrację, niż liczyć na zobowiązania Francji i ZSRR. Polacy byli rozumniejsi szaleem. Wobec trybunału historii, w którym zasiadaliby sędziowie ze związku krótkofalowców lub wychowani w szkole materialistycznej dialektyki, mogłyby być surowo potępione zarówno polskie sojusze wojskowe z wiosny 1939, jak decyzja przyjęcia wojny w dniu 1 września 1939, ale realny realizm historii uwzględnił inne czynniki i dlatego właśnie decyzja Polska nazwana została natchnieniem narodów i dlatego na długiej fali Polacy nie wątpią w dżentelmeńskie wypełnienie zobowiązań przez sojuszników z wiosny 1939.

Kampania wrześniowa — preliminarja strategiczne

W 1939 r. Hitler mógł uderzyć albo na

Polskę, albo na Francję, co odłożył do 1940 roku. Czy ktokolwiek dziś wątpi, że przebieg kampanii francuskiej w 1939 byłby inny niż w 1940 pod względem oporu ze strony Francji? Rok prawie czasu miała Francja więcej od Polski na wykończenie swych przygotowań wojennych, a więc w 1939 jej opór byłby pod każdym względem mniejszy. Niewiadomo, czy w tej alternatywie na przełomie 1939 i 1940 Hitler nie zdołałby wygłosić mowy w Whitehallu, okłaskiwany przez komunistów angielskich, którzy przecież oficjalnie byli wówczas jeszcze pod dyktandem Kominternu, a na wschodzie Europy istniała jeszcze polubowna linia Ribbentrop—Mołotow.

Hitler jednak 1 września 1939 uderzył nie na Francję, lecz na Polskę, co dowodzi, że uważał Polskę za bardziej niebezpieczną niż zachód Europy i obawiał się, że w razie gdyby się zwrócił przeciw Francji, to armie polskie nie zachowałyby się tak beczynnie, jak w odwrotnym wypadku armie francuskie. Jest to bezpośredni dowód faktycznego uznania ze strony niemieckiego sztabu generalnego dla wyższości armii polskiej nad francuską, mimo odmiennych epitetów propagandowych.

Na wstępie naszej analizy planu wojennego, analizy, która musiała być dokonana przed wojną, należało więc rozpatrzyć dwa, a właściwie trzy, warianty niemieckich działań wojennych. Wariant N. F. — główne siły niemieckie idą na Francję, wariant N. P. — główne siły idą na Polskę, wariant N. F. P. — rozdział sił niemieckich na wschód i zachód w tym czy innym stosunku. Wariant trzeci jako najmniej prawdopodobny należało odsunąć na drugi plan, zaś jako wariant podstawowy analizować najgroźniejszy dla nas N. P. W rzeczywistości stało się inaczej. Z przyczyn, których wyczerpać w tym artykule nie można, polski plan wojenny oparty był na hipotezie N. F. Współautorami tego planu byli Francuzi. Plan był naszkicowany kilkanaście lat przed wojną, potem odrzucony i w 1939 nieoczekiwanie ponownie oddany do realizacji. Spełnialiśmy przez to zaprawdę ponad miarę obliży braterstwa polsko-francuskiego. Czyż to „zasługa” i wina i błąd, to dopiero historia wykaże. W każdym razie pierwsiastkowa, zasadnicza koncentracja i zadania armii polskich w 1939 r. były korzystne dla Francji. Istniała pełna strategiczna gwarancja że w razie skierowania się głównych sił niemieckich na zachód, Polacy bez zwłoki wkroczą do Prus Wschodnich, na Pomorze Szczecińskie i na Śląsk Opolski.

Taka koncentracja mogła być uznana za rozsądną tylko w dwóch wypadkach: bądź gdyby było z góry wiadome, że Niemcy idą na Francję, bądź gdyby chociaż ugrupowanie i plan wojenny francuski były skonstruowane na analogicznych do naszego podstawach i zapewniały gotowość armii francuskich do natychmiastowego uderzenia w wypadku N. P. W braku tych warunków, ideą przewodną polskiego planu musiał być konsekwentny odwrót strategiczny, połączony z systematyczną akcją dywersyjną i partyzancką.

Bardzo łatwo dziś o tym pisać, zbyt łatwo nawet i aż mnie przeraża, że logika tego rozumowania znajdzie poklask ze strony durniów, którzy nie rozumieją ani ułamka całej zawłości problemu i grozy, zawartej w fachowym wyrażeniu „strategiczny odwrót”, i tych niezliczonych przypadków i celowych podstępów, które zaciemniały obraz w chwili decyzji, i tych nieskończonych nacisków ze strony swoich i obcych, którym chodziło o partykularne cele.

Dla dokończenia teoretycznego przeglądu głównych elementów polskiej analizy strategicznej, dokonywanej wiosną 1939 r., trzeba dodać, że nasz plan wojenny musiał się liczyć na wypadek wojny z Niemcami z sytuacją na Wschodzie, i z tego wynikał znowu szereg wariantów. Do tej pory nie wiadomo dokładnie, z czyjej winy polski sztab generalny pozostawał do ostatka w niejasności pod tym względem i nakazywał ewakuację różnych urzędów i zapasów np. do Baranowicz a nawet Stołpców, wtedy gdy z tej strony miał nadejść niespodziany cios, który ostatecznie zrujnował wszelkie nasze plany i bez tego kalekie.

Dowodzić — to przewidywać. Pod tym względem talenty Naczelnego Wodza polskiego i Sztabu Głównego okazały się niższe od talentów przeciwnika.

TADEUSZ SOWICKI

DOM

Starszej siostrze

Nam jeden wspólny dom oddano
Na własność. Krył nas jeden dach.
Tobie już dawno go zabrano.
Ja wiem. A dziś go nie mam ja.

Dla nas ten dom tradycją tkwił,
Jak niewyrwany, groźny chwast —

Kampania wrześniowa — przebieg

Plan kampanii, nadmiernie lojalny wobec Francji, został więc scharakteryzowany jako lekkomyślny. Dodać trzeba, że pewne uzasadnienie mógł on jeszcze zachowywać do końca sierpnia 1939 r., ale potem nadszedł moment, wymagający nieodwołalnie nowej, innej decyzji. Momentem tym była mobilizacja. Fakt, że Francja nie wydała jednocześnie z nami swych rozkazów mobilizacyjnych i nawet ze względów psychologicznych, aby nie być postrądzoną o wywołanie wojny, należała na opóźnienie naszych zarządzeń, był tym negatywnym ewenementem, który mniósł gruntownie zmienić nasze uszykowanie do wojny. Tak się nie stało. Wszystko pozostawiono po staremu. Działania niemieckie rozpoczęły się przez zaskoczenie w toku naszej mobilizacji. Armia jest wtedy najsłabsza, słabsza niż na stopie pokojowej, znacznie słabsza niż w czasie doraźnych letnich manewrów. Plany mobilizacyjne w toku ich wykonania powodują stan rzeczy podobny do mieszkania w czasie przeprowadzki. Czy można i trzeba było wobec tego wstrzymać mobilizację? To tylko zwiększyłoby zamieszanie.

Nie będę opisywał szczegółów dramatycznego dnia 1 września. Mijają potem dwa długie dni, aż wreszcie Anglia i potem Francja wypowiedziadają wojnę Niemcom. Czy mieliśmy prawo liczyć na inną reakcję ze strony sojuszników? Tak i nie. Hitler lepiej od nas przewidywał, że nie tylko we wrześniu 1939, ale aż do lipca 1943, do desantu na Sycylię, nie spotka się z czynną reakcją Zachodu. Czy lotnictwo francuskie i angielskie mogło wziąć udział w walce? Tak i nie. Uczuciowo zawiedliśmy się we wrześniu na sojuszników. Rozsądek i rozum, wsparty doświadczeniem tych lat, mówią: dobrze zrobili, że nie rozpraszali swych sił.

Zobowiązania angielskie mają do dziś swą moc obowiązującą. Nie mamy powodu wątpić w słowo dżentelmana, jeśli sami przez błędy lub kompleksy niższości nie będziemy abdykować ze swych praw, dobrze nabytych.

Armia polska walczyła więc sama przeciw całosci sił niemieckich. Błędy pierwsiastkowego ugrupowania starała się drogą improvisacji naprawić. Istniały różne zamiary i perspektywy, które rzeczowo opisał francuski generał Faury w „Revue de Deux Mondes” w 1940 r., na podstawie swych wspomnień ze służby oficera łącznikowego przy polskim Naczelnym Dowództwie we wrześniu 1939.

Jaka byłaby długotrwałość pojedynku polsko-niemieckiego, trudno orzec. Wkraczają jednak do konfliktu nowe armie ze wschodu. Wszystkie plany wojskowe padają w gruzy.

Rezultaty kampanii wrześniowej najtreściwiej ujęł Winston Churchill w swej mowie z dnia 1 października 1939:

“The heroic defence of Warsaw shows that the soul of Poland is indestructible and that she will rise again like a rock which may for a spell be submerged by a tidal wave but which remains a rock.”

Kompleks tragizmu i kompleks niższości

Polacy, ciągle jeszcze opętani mistyką romantyczną, mają upodobanie do tragizmu dziejowego. „Dumę o hetmanie” czytali wszyscy aż do pensjonarek, zaś nawet uczeń szkoły wojskowej nie umiał recytować wyjątków z „Wojny chocimskiej”. Droższy zawsze pamięci Polaków był Żółkiewski spod Czerwca, niż Żółkiewski np. na Kremlu.

Reakcja Polaków po katastrofie wrześniowej wyrażała się przede wszystkim w niesformułowanej powszechnej pretensji, że wypadki nie zawierały dość elementów tragicznych. Wolanoby, żeby Wódz Naczelny zginął śmiercią bohaterską a Warszawa została doszczętnie zrównana z ziemią, a bitwa pod Kutnem żeby była jeszcze krwawsza. Zresztą nawet wtedy mianoby utajony żal, że jeszcze coś większego się nie stało.

Prawda polega na tym, że rzeczywistość polskiego udziału w wojnie i rzeczywistość kampanii wrześniowej obejmują się mogą bez tragicznych przejawów, a nie zasługują na samobiczowanie. Dwa odmienne w swym wyrażeniu, ale zespolone co do swych źródeł, kompleksy mogą i powinny być odsunięte na peryferie naszej literatury, poświęconej przeszłości. Przedstawienie realistyczne zawiera może dość składników zarówno klasycznego

zaprawdę bohaterstwa, jak i mętnych, poławicznych decyzji i czynów, i dać może obraz prawdziwego życia, nie pozbawionego ani poezji, ani prozy, a którego główny nurt wykaże niezłomność, że Polacy nie są ani narodem tragicznych, ani narodem pozbawionym zdolności do życia. Krzywdę robi nam Roman Umiastowski przez patetyczne samochwalstwo, ale także i Ksawery Pruszyński, mimo opiewania bohaterstwa żołnierza, przez swoisty flagellantyzm.

Z pośród różnych wypadków katastrofy wrześniowej rozpatrzyć warto dla przykładu jeden, zgodnie dziś przez opinię publiczną potępiany i właśnie dlatego zasługujący na chłodne, analityczne spojrzenie. Chodzi o rozkaz, wydany przez radio, aby ludność męska opuszczała Warszawę i szła na wschód. Exodus. Rozkaz wydany i cofnięty. Połowiczność. Prowincjonalny dramat. Cóżby się jednak stało, gdyby rozkaz, odpowiednio przygotowany pod względem wykonania, został wydany przez czynnik, posiadający autorytet w narodzie. Kilka milionów Polaków znalazłoby się na Bałkanach. Złe czy dobre, ale stałoby się rzecz wielka. Taka wędrówka ludzi — to właśnie jeden z elementów tego strategicznego odwrotu, jaki nam narzucało położenie wojenne. Zaspokojony zostałby kompleks poszukiwania wielkości tragicznych. Inny przykład: nie tylko Warszawa, ale także Kraków, a za nim inne miasta bronią się w swych murach. Przelew krwi wielokrotnie zwiększony. Znowu znamie wielkości. Tak się nie stało. Pesymiści się martwią, że Warszawa krócej się broniła, niż Leningrad i Stalingrad. W Leningradzie podobno zmarło z głodu 500.000 ludzi. To jest dla nich znamie wielkości. Kompleks niższości znajduje ciągle dla siebie pożywkę, by dalej zatruwać duszę polską.

Nieszczęśni i głupi, żałośni ludzie, słuchajcie i powtarzajcie słowa, jakich użył Churchill dla oceny zachowania się Polski w wojnie:

„Heroiczna obrona Warszawy wykazuje, że dusza Polski jest niezniszczalna jak skała. Przypływ może ją zalać, ale przy odpływie fala skały pozostanie.”

Aktualny plan wojenny

Zbyt wiele rozprawia się o planie wojennym z przed września. Anglicy tyle nie piszą o planie okresu, zakończonego Dunkierką. Można się oglądać wtył, ale ważne jest, ażeby w każdej fazie wojny mieć plan, dostosowany do okoliczności.

Trzeba pamiętać, że właściwą siłę Polski stanowi naród polski, toczący od czterech lat najstraszliwszą z wojen. Trzeba wszelką myśl i działania emigracyjne dostosować do potencjału tej siły.

Bez Warszawy, bez tego natchnienia, może nie byłoby Quebecu, ale bez Quebecu wielkość Warszawy i tak napewno pozostałaby. Trzeba czytać dla nabrania właściwej miary polskiego wysiłku wojennego nie bzdurologię partykularyzmu, spazmowego kompleksu, lecz pełne realizmu zbiory przemówień Winstona Churchilla z okresu wojny i trzeba czytać zwykłą kronikę, jakże wymowną, tych czterech lat wojny. Mądry, dobry i dzielny gentleman, jak go określił Roosevelt, stojący u steru rządów potężnego narodu, nie wstydzi się w ciężkiej chwili wyrażać swą troskę i wolę w pełnych pokory słowach: „Nie chcę być likwidatorem Imperium Brytyjskiego”, a za nim powtarza te słowa 47 milionów obywateli Zjednoczonych Królestw, i to jest ich wola.

Wola 35 milionów obywateli Rzeczypospolitej Polski wyrażona jest niezłomnie w ciągu czterolatniej wojny cywilnej, zaś naszym obowiązkiem na emigracji jest być głosnikiem tej woli i dbać o to, by pierwszy okres pokoju nie stał się taką katastrofą, jaką był dla nas pierwszy okres wojny.

Na etapie Warszawa—Quebec musieliśmy być cierpliwi, bo wojna była ciągle w załazku, lecz na etapie Quebec—Warszawa trzeba natężyć siły, by sprostać nakazom, jakie dyktuje wola narodu polskiego.

Cóż trzeba dziś zrobić? Biorąc udział w wojnie, trzeba zabiegać o to, aby pokój nie przyniósł Polakom zawodu. Trzeba czuwać, by ciężar gatunkowy polskiego wkładu do wojny nie był powierzchownie mierzony poniżej wkładu któregośkolwiek z narodów. Leży to w interesie nie tylko naszym, ale świata całego, bo nie wolno bezkarnie deprecjonować wartości wkładów i zobowiązań moralnych, gdyż inaczej nabrałoby powszechnej słuszności, dzisiaj głucho brzmiące hasło Lewis'a: “The English aristocracy is not worth fighting for”. Ta wojna nie jest przecie ostatnią z wojen w świecie i nie jest ostatnią z wojen, którą toczy Imperium Brytyjskie.

Na mecie etapu Quebec—Warszawa naród polski i świat cały muszą nabrać przekonania, że decyzja polska przyjęcia bezadziejnej, we wrześniu podyktowanej wojny była słuszną, rozsądną, cynicznie mówiąc — opłacalną. To — po pierwsze, a po drugie — w czasie marszu z Quebec do Warszawy musi być dany wyraz prawdzie, że Polacy nie są jednym z małych narodów, które można pozostawiać na uboczu. Oba tych rzeczy wymaga geozofia.

MARIAN GÓRECKI

ZMIERZCH GEOPOLITYKI

Geneza geopolityki

Pojęcie, teoria i szkoła geopolityczna są pochodzenia niemieckiego, lecz sugestie i nawet sposób myślenia geopolityczny świadomie lub nieświadomie występują i poza Niemcami, i trzeba je zanalizować, aby je zwalczyć.

Dwa elementy złożyły się na ukształtowanie geopolitycznego poglądu na świat: kult mocarstwowości i pogłębiająca się znajomość zasobów kuli ziemskiej. W rezultacie geografia zaprzęgnięta została w służbę polityki, by wskazywać jej drogę do najcelowszego z punktu widzenia gospodarczego i strategicznego organizowania mocarstw. Nie zawsze i nie wszędzie powstawały potężne imperia w zgodzie z teorią geopolityczną. Aleksander Wielki plany swych olbrzymich podbojów układał na przesłankach, dostarczonych przez współczesną mu wiedzę, ale gigantyczne wyprawy Dżyngischana wynikały raczej z prymitywnej żądzy zdobyczy. Brytyjski Commonwealth, choć się kształtował raczej intuicyjnie, stanowi klasyczny wzór realizowania koncepcji geopolitycznej.

Dopóki okręty były jedynym środkiem połączenia między członkami rozległego imperium, a więc do ostatnich czasów, źródłem potęg pozornie było opanowanie mórz. Amerykanie stąd roszczą pretensje, że pierwszym teoretykiem geopolityki był kapitan ich marynarki Mahan, który pięćdziesiąt lat temu ogłosił książkę p. t. „The Influence of Sea Power upon History, 1660—1873”, rozwijając tezę, że nie Wellington lecz Nelson pokonał Napoleona. Jednak Anglik Sir Harold wykazał w rozprawce „The Geographic Pivot of History” błędność jednostronnego przecenienia roli oceanów.

Po ubiegłej wojnie niemiecki dowódca dywizji, gen. Karl Haushofer, rozmyślając o klesce i drogach do rewanżu, natrafił na książkę Mackindera „Democratic Ideals and Reality”, w której autor przestrzegał twórców pokoju wersalskiego przed dopuszczeniem do zbyt bliskiego kontaktu między Niemcami a Rosją, gdyż twierdził on, że nie morza, lecz rozległe lądy są istotnym źródłem potęgi.

Na podstawie rzetelnej dobrej znajomości geografii Mackinder trafnie i przewidująco ocenił, że za Uralem, tam gdzie świat widział tylko tundry, tajgi i głodne stepy, naprawdę istnieją wszelkie warunki do powstania Magnitogorska, Zagłębia Kuźnieckiego, Karagandy, wielkich żarów pszenicy, masowej uprawy bawełny i hodowli owiec, a więc że istnieje tam pełne podstawy do stworzenia gigantycznego przemysłu ciężkiego i włókienniczego, wyposażonego we własne obfite bazy żywnościowe. Mackinder nazywał obszar między Wołgą i Jangtse sercem (heartland) superkontynentu (worlds island), obejmującego maleńką Europę, wielką Azję i pustynną narażoną Afrykę, i w r. 1918 określił, że stamtąd może zacerpnąć niezależnie od potęg morskich wystarczające środki dyktatura kuli ziemskiej, jeśli twórcy pokoju po wojnie 1914—1918 dopuściliby do penetracji organizatorów niemieckich na ten obszar.

Haushofer doskonale pojął sens wywołów Mackindera, powiedział sobie, że trzeba ab hoste doceri, zmienić bezsilny wówczas mundur generalski na togę profesorską, zaczął wykladać na uniwersytecie w Monachium geografii, a następnie stworzył szkołę geopolityczną, rozporządzającą własnym Instytutem Naukowym, który stał się fachową komórką, planującą w drodze analiz naukowych kierunki i metody niemieckiej ekspansji.

Ustalmy rodowód współczesnej niemieckiej geopolityki. U jej narodzin tkwią te przesłanki geograficzne, które można słusznie nazwać prawem historycznym Mackindera — Haushofer, wszelkie natomiast dalsze genealogie są nieistotne i nie ma potrzeby sięgania do Liszta, Ratzela, ani tym bardziej do Mahana, bo z równą słusnością wskazywać można na przebiegi geopolityczne w pismach o 300 lat wcześniejszego od Liszta sekretarza króla Zygmunta, a biskupa lwowskiego Jana Dymitra Solikowskiego, a nawet w znanym orędziu Jagiełły do Witolda w sprawie ujścia Niemna. Nie ma potrzeby tego robić, bo chodzi nam tylko o zrozumienie tego, czego chcą Niemcy, a nie o to, żeby samemu niewolnie popaść w ich tory myślenia.

Stan realizacji tez geopolitycznych

Piśmiennictwo szkoły geopolitycznej obejmuje takie mnóstwo pozycji, że można tam znaleźć dowolnie wielorakie warianty, odpowiadające zainteresowaniom. Uchodzi za pewnik, że Haushofer w swych pracach był zwolennikiem uzyskania hegemonii na wyspie światowej przez zdobycie wpływu na obszar Heartlandu w drodze pokojowych, sąsiedzkich stosunków z Rosją. We wrześniu 1939 r. wydawało się, że wbrew prawdopodobieństwu tezy Haushofera osiągną pełną realizację, gdy mimo śmiertelnych obelg, ciskanych na siebie przez komunizm i nacjonalizm, doszło do paktu Ribbentrop—Molotow i bezpośredniej, otwartej dla handlowych stosunków rozległej granicy niemiecko-sowieckiej.

Hitler, rozpoczynając w czerwcu wojnę z Rosją, zakładał pozornie plan realizacji koncepcji geopolitycznej. Jest to jednak różnica powierzchowna. Pozostaje bowiem największą zagadką, jaką rolę odegra obecna wojna w obrębie dziejowym losów narodu niemieckiego. Poprzednią wojnę, przegraną na polu bi-

tew, skończyli oni pełnymi sukcesami gospodarczymi. Nie ma podstaw do przypuszczania i teraz, aby istotnie olbrzymie zasoby wiedzy i sprawności technicznej Niemców miały pokłesce zagać bezpowrotnie. Zresztą przecież Stalin nie prowadzi wojny z Niemcami, lecz tylko i wyłącznie z hitleryzmem. Bliskie sąsiedztwo Niemiec, pozbawionych Hitlera i Gestapo, Niemiec rządzonych przez jakieś NKWD, musi doprowadzić do supremacji penetracji niemieckiej na Wschód. Wszelkie jedno, czy Hitler zawisnie na szubienicy, czy dokona łajdackiego żywota w Dorn lub na Świętej Helenie, zawsze majster i inżynier niemiecki przystąpią do organizacji nowej ostatecznej kuźni wojennej w Heartlandzie, jeśli mu w tym „geopolitycznie” nie przeszkodzi, bo wojna 1914—1918, tak samo jak wojna 1939—194?, jest tylko epizodem dziejowym, a prawo Mackindera—Haushofera zachowuje moc obowiązującą.

Hitler, klient postronka, zniknie jak złe wroga efemeryda, a wówczas zjawi się nowy dysponent zasobów Heartlandu i Wyspa światowa stanie się domeną jego rozkazów.

Boicie się czarnego ludu?

Geopolityka a sprawa polska

Wszystko tak by było, gdyby Raumtheorie geopolitycznej posiadały ciągle prawdziwą wartość. Pozornie Polakom nie powinno zależeć na obalaniu prawa Mackindera—Haushofera i na zaprzstawianiu straszenia świata konsekwencjami tego prawa, gdyż jako niezłomny wniosek wynika stąd uzasadnienie konieczności istnienia naprawdę silnej Polski, rozdzielającej Niemcy od Rosji, ale fałszywa byłaby racja egzystencji, oparta na roli negatywnego buforu lub kordonu sanitarnego. Tej powersalskiej pozycji Polacy nie chcą ponowić i nie potrzebują.

W świecie mało się zastanawiano nad stosunkowo odległą możliwością powrotu współdziałania niemiecko-rosyjskiego i nikt się nie głosił w czasie krwawych walk na przedpolu Moskwy i Leningradu przedwcześnie nad szanami, że zwycięskie armie sowieckie, minąwszy Polskę, czerpać będą z przemalowanych na barwę lojalnych moskiewskich nacmenów Niemiec komisarzy dla Paryża, Rzymu, a może i Londynu. Wśród kwietystycznego spokoju w obozie alianckim nie wypadało Polakom być Kassandrami.

Na szczęście dla Polaków i wszystkich ludzi, Haushofer, będąc pozornie prekursorem nowej szkoły, jest w istocie epigonem machiawellizmu. W chwili gdy Haushofer doszedł do zrozumienia, w jaki sposób geografii zaprzęgać w służbę polityki, ludzie współcześni dochodzą do pojęcia, jak polityka powinna sama być podporządkowana wiedzy.

Rozpatrywanie Lebensraumów w sposób haushoferowski ma charakter schyłkowy i może wciągnąć w swe tryby wyłącznie umysły, myślące starymi, rentierskimi kategoriami Francji lub Chamberlainowskiej Anglii, ale nie może mieć wartości dla ludzi, mających otwarte oczy, dla których cała kula ziemiska staje się jednym wspólnym, jedynym, niewielkim ale dostatecznie zasobnym obszarem życiowym. U podstaw geopolityki leżą maltuzjanistyczne obawy, że nie starczy dostatku dla wszystkich, i dlatego jak stare póżło się psę geopolitycy zajądła warczą na siebie i gryzą się na śmierć o kawałek kości, nie dostrzegając, że opodal leży beużytecznie obfite smacznych, tłustych kęsów. Takim psem wściekłym z niezaspokojonego łakomstwa jest każdy teoretyk geopolityczny bez różnicy ras, narodowości i oficjalnego kryptonimu. Na złośliwe psy jest tylko jeden środek — kaganiec, i skoro Polacy mają takie sąsiedztwo, to mają prawo domagać się od rozumnego współczesnego świata, aby międzynarodowa straż bezpieczeństwa stanęła na granicach Polski, zabezpieczając ją przed egoistycznymi imperializmami i umożliwiając kulturalne współżycie z ludźmi bez przeszkód ze strony tych wściekłych psów. Polska nie chce prowadzić wojen pod ideologicznymi hasłami, skądkolwiek one płyną, a ma prawo do tego, aby nie być znowu zmuszona bronić się w odosobnieniu.

Zrozumienie grózb dla świata, wynikających z prawa Mackindera—Haushofera, leży nie tylko w interesie Polski i 140 milionów, zamieszkujących między morze bałtycko-egaejskie, ale także w interesie spokoju całego świata.

MARIAN CZUCHNOWSKI

LIST

Co miałem z życia?

Żarłem szary, więzienny mur,
Gryzłem latami żelazo krat.
Tężały w oczach: noc, bloki gór,
Wolny, szeroki świat.

Zmartwienie matki z góralskiej krwi,
Chłuba, nadzieja sądeckich chat.
Kochałem wolność. Niebo, gdy grzmi,
Burzę, wicher i grad!

Łamałem mury, ściany i drzwi,
Żelazne zamki, cegły i gmach.
Na dnie jak łuna jaskrawa łni,
Tryska mój gniew. Z samego dna.

I nie żałuję dziś bujnych lat.
To tamten ogień w górach się tli!

Przezorność nakazuje wstrzymać dostawy broni i środków walki dla takich sojuszników, którzy są imperialistycznymi egocentrystami. Czas skierować bogate, miliardowe środki do zasilenia tych sojuszników, którzy choć chwilowo słabi, jednak reprezentują istotny potencjał realizacji czterech wolności w Europie i współpracy z organizatorami świata.

Neohumanizm zamiast geopolityki

Czy można sobie wyobrazić, żeby dziś mogło gdzieś komukolwiek zbraknąć chleba, jeśli nie wojna? Czy może ilość znanych surowców nie jest dostateczna, aby w sposób zupełny zaspokoić potrzeby wszystkich ludzi? Czy brak może środków transportowych, żeby przewieźć bogactwa z miejsc ich nagromadzenia w okolice upośledzone? Czy brak może ludzi do pracy? Czy każdy nie oczekuje z pewnością, że w najbliższym czasie wykrycie skuteczniejszych środków przeciw śpiączce i malarii otworzy raj afrykański dla setek milionów ludzi?

Wszyscy wiedzą doskonale, że surowców nie brak, maszyn nie brak, okrętów i samolotów transportowych nie brak, ludzi jest za dużo w tym błogosławionym sensie, że nawet przy osmiogodzinnym „dniu roboczym” nie dla wszystkich pracy starczyłoby i trzeba będzie zredukować dzień roboczy do sześciu, a może i czterech godzin i organizować wszechświatowe dopy do di lavore. Tylko Niemcom konieczny jest wysiłek pracy milionowej rzeszy niewolników, bo Niemcy chcą odwrócić bieg naturalnego prądu, prowadzący do powszechnego dobrobytu, i skanalizować go na własny, wyłączny Herrengebrauch.

W wydawnictwach Oxford Pamphlets ukazała się interesująca broszura amerykańskiego uczonego H. W. Weygarta pod tytułem „German Geopolitics”, w której wysunięty jest postulat, by dla gruntownego wykorzenienia geopolitycznych, antycywilizacyjnych planów zorganizować przy głównym sztabie alianckim specjalny instytut, przy czym Weygart proponuje dla niego niezwykle znamienne nazwę „humanized bureau”. Niestety, nie ma jeszcze dotąd wspólnego sztabu aliantów i Karta Atlantycka nie dała konkretnych wytycznych dla jego pracy, ale jej hasła stają się powszechnym sztandarem. Ludzie chcą poprostu żyć bez głodu, chłodu i strachu i wszelkie teokratyzmy, imperializmy, psie ideologie muszą ustąpić miejsca wzrastającemu pędowi do neohumanizmu. Jakaś międzynarodowa policja, jakis — mniejsza o to — Beveridge'owski superrząd niech się zajmują strzeżeniem ładu. Ludzie gotowi są pracować, nawet — jeśli by to czasami okazywało się konieczne — więcej niż przed wojną, ale wzajemnie chcą mieć spokój i Dopo di Lavore. Nikt się nie da wziąć na lep demagogicznych ideologii.

Obok proklamowania anachronistycznych imperialnych zażądań trzeba dla ładu w wojennym świecie ukrocić drugi anachronizm, występujący w postaci defensywnych bankierskich machinacji. „Czyż można się pogodzić ze stosunkiem dotychczasowym świata finansowego do produktywnego przemysłu, stosunkiem polegającym na wymuszaniu, podobnie jak bandyta, okupu w wąskim zaułku, przez który producent musi przechodzić?” To nie są słowa żadnego komunisty czy anarchisty, jak byliby to przed niewielu laty, tak dzisiaj przemawia urzędujący król sztucznego jedwabiu, Samuel Courtauld, w „Economic Journal”, i w tym właśnie uwidoczni się, ku czemu świat steruje. Muszą być obalone monopole surowcowe i finansowe, musi zczecznać nowoczesna Bastylia, zamykająca w operacjach bankowych możliwość rozwoju powszechnego dobrobytu, musi przysiąc do pełnego umiędzynarodowienia surowców i pieniądza oraz oddania ich pod kontrolę nie polityków, lecz uczonych, podobnie jak ich domeną jest już teraz badanie promieni słonecznych, lub zwalczanie raka, gruźlicy i malarii. Ludzie zwracają frontem walczą będą o jawność eksploatacji surowców, tak jak skutecznie, mimo braku organizacji, walczyli o jawność rozprawy sądowej, o habeas corpus act i o neminem captivabimus. Ekskluzywni właściciele banków, posiadacze surowców i wynalazków technicznych dzisiaj bowiem ponad naszymi głowami ferują wyroki wojny i pokoju, jak niegdyś despotyczne władcy, rozporządzający żelazem i złotem.

Ale samym chlebem nikt nie wyżyje.

Humanizm nowoczesny domagać się będzie otwarcia tajemnicy nie tylko kopalni i laboratoriów przemysłowych, ale także i jednocześnie udostępnienia najszerzszym masom zdobyczy kulturalnych. Nowożytnym mecenasem sztuki będzie nie renesansowy doża, papież czy książę, lecz szeroka masa ludzi, mających wiele wolnego czasu po krótkiej, produkcyjnej pracy. Przyszłość należy do mistrzów, a nie do geopolityków.

Renesans i Macchiavelli

Mówiąc trywialnie, zmierzch włoskiego renesansu rozpoczął się w chwili, gdy jego mecenasom poczęło brakować złota, które przedtem zapewniało nie tylko dołce far niente, ale dawało możliwość używania go masami na arcydzieła sztuki złotniczej Benvenuto Cellinich. Wówczas wystąpił na widownię działacz polityczny, który jako prekursor nacjonalizmu i silnej władzy był niewątpliwie jednym z ojców nowożytnej historii. Postawił on Włochom przed oczy ideał zjednoczenia, który tak czy owak przyswiecał później i w jakim w stylu Garibaldi, i filozofom typu Mazziniego, i politykom typu Cavoura, i większości Europejczyków bez względu na narodowość i etykiety. W odczynie Macchiavella ujrzał z kolei Mussolini nowe ideały, będące nieudaną próbą pojednania Cavoura z Leonardo da Vincim, Cezara z Aureliuszem. Trzeba szczerze powiedzieć, że Mussolini dość dołbre wiele rzeczy widział, dopóki nie ogłupiał. Przypominam sobie, jak zwiedzając przed piętnastu laty Włochy, słuchać musiałem peanów podziwu młodych włoskich zapaleńców, którzy oprowadzali mnie po wspaniałych, budujących się fabrykach, stadionach, galeriach i salach koncertów ludowych, którzy wykazywali mi, jak Mussolini stwarza dobrobyt dla swego narodu i jednocześnie troszczy się o sztukę i godziwe, kulturalne spędzenie odpoczynku. Oglądałem legitymacje faszystowskie, w których napisane było, że posiadacz złożył przysięgę, iż odda wszystko, aż do krwi włącznie, na rozkaz Duce, i pytałem wtedy moich ciceronów, zachwyconych wspaniałym pokojowym rozwojem ojczyzny: „No dobrze, ale jeśli Duce rozpocznie wojnę?” — „Nie, nie, on tego nie zrobi” — „Dlaczego?” — „Bo on jest mądry”.

Od początku nie entuzjazmowałem się faszyzmem, bo nie tylko wiedziałem, że wskutek nadmiernie przyspieszonego tempa, jakie nadał on krajowi, musi doprowadzić do wojny, ale ponadto mierzyłem mnie metody oleju rybnego i nieznanymi sprawców. Nie będąc zwolennikiem faszystów włoskiego, nigdy jednak nie traktowałem go gorzej od innych metod forsowania postępu i terroru, bez względu na to, jakie światła usiłowały opromieniać barbarzyństwo. W przededniu wyzwolenia Włoch z pod hegemonii niemieckiej możemy być pewni, że naród włoski, bogaty smutnym doświadczeniem, odwróci się jak jeden mąż od faszystów i stanie w pierwszym szeregu ludów, walczących o neohumanizm i potłuczenie pogańskich bożków, którym kłaniał się musza ludy, zamknięte w imperiach. Nieagresywne i wolne miasta i gminy włoskie staną obok nie wplątanych w politykę kibuców, obok falansterów, instynktownie połączonych przez ludzi, żeby przeciwstawić się supremacji tajnej policji politycznej.

Bronią się jeszcze twierdze Grenady

Zbyt przepełnione są optymizmem powyższe rozważania, przepowiadające zmierzch geopolityki, aby je można zakończyć bez wiadra zimnej wody.

W czasie wojny nie ma miejsca dla pięknotuchów. Bastylie polityczne i Bastylie bankierskie ciągle jeszcze szczerzą zęby, przykrywając wilcze pyski owczą skórą i karmiąc pięknotuchów coraz to nowymi transformacjami środków oszołamiających, w miarę jak stare tracą moc działania. Już dawno przestała być „religia opium dla ludu”, przestał już być „komunizm opium dla ludu”, więc wchodzi w modę wzmocnione dawki patriotyzmu, a z drugiej Bastylii, Bastylii holdinów bankowych, gdy tracą moc podciągającą hasła liberalizmu gospodarczego i wolnej wymiany, rozbrzmiewają dźwięczne bancory.

Rozproszeni w świecie neohumanisci, choćby ich były miliony, nie zburzą tych Bastylii, a wybuchy desperacji ze strony ucieszonych mas mogą tylko powybić szyby w pałacach.

Trzeba pracy uświadamiającej, aby zwolnić siły, które na gruzach geopolityki zapewnią trwały triumf geozofii. Kubłem zimnej wody niech będą słowa kardynała Gaspariego, który w r. 1923 na pytanie dziennikarza amerykańskiego „Jak długo utrzyma się Mussolini przy władzy?” — odpowiedział „Dwa lata lub pięćdziesiąt lat”. A na pytanie „Ktoby w takim razie objął władzę po dwóch latach?” — odrzekł — „Giolitti” — „A po pięćdziesięciu latach?” — „Giolitti”.

Któż to Giolitti? — To reprezentant czegoś gorszego jeszcze od geopolityki, poprostu szachrajki politycznej.

Wbrew jednak wszystkim, widzącym tylko to, co koło nich się dzieje, i wbrew wszystkiemu, co prawem inercji stanowi dotąd pozornie nieprzezwyciężoną przeszkodę, kształtują się obiektywne warunki nowego życia i ostatecznie te właśnie warunki z kolei ukształtują nowy pogląd na świat.

UCIECZKA Z WIEZIENIA

Beata Obertyńska: „Faustyna”. Opowieść. Str. 92. Wydawnictwo „W Drodze”. Jerozolima, 1943.

O „FAUSTYNIE” OBERTYŃSKIEJ

Znamy smutną listę rozstrzelanych, zamęczonych, zmarłych z wycieńczenia i głodu polskich uczonych, pisarzy i artystów. Nie wiemy, kto dziś jeszcze żyje w kraju, nie potrafimy powiedzieć, kogo spotkamy po powrocie. Nie wiemy czy żyją, a jeśli żyją, czy mogą pracować twórczo, czy powstają w ukryciu nowe rękopisy, czy tam, wśród terroru, rodzą się przyszłe książki nowej, odmiennej Polski. Łatwiej określić, jakie dzieła nie zostaną już nigdy dokończone, jakie książki nie wyjdą więcej spod pióra Kleinera, Chrzanowskiego, Estreichera, Kolaczowskiego, pióra Berenta, Boya-Zeleńskiego, Gojawiczyńskiej, Leczyckiego, Morcinka i tylu, tylu innych...

Co się stało z Nowaczynskim? Co się dzieje z Szaniawskim, jakie losy spotykają Dąbrowską, Nalkowską, Makuszyńskiego? Mamy dziś raczej negatywną świadomość stanu naszej literatury. Zespół pisarzy, który przedostał się poprzez podwójne sito ewakuacji polskiej i francuskiej, jest tylko drobna cząstka, niewiele powiększona przez to, że później Obertyńska, Broniewski, Czuchowski, Parnicki i Relidziński przybyli na Środkowy Wschód. Wszyscy oni razem są świadectwem, jak pojmano u nas w najgorszych wrześniejących dniach zasadę ratowania narodowej wartości, wywiezienia tego, co będzie potrzebne w dalszej walce. Do ostatniej chwili zaciążyło urzędnicze ujmowanie świata — auta uwożili starostów, pobierających dziś ośmiofuntowe emerytury, profesorowie i pisarze zostawali. Zostawali ci, którzy mogliby przysporzyć stawy, wydobyli się z tonącego okrętu ci, którzy nieraz miewali udział w niesławie.

W skurczonym stanie posiadania literatury podział ewakuacyjnych i wojennych redukcji wypadł nierówno. Ocalała dojrzała poezja: Wierzyński, Tuwim, Wittlin, Stonimski, Baliński, Pawlikowska — dotarli do Anglii i Ameryki, choć równocześnie młodsze pokolenie poetów poniosło dwie dotkliwe straty: Czechowicz i Karpinski. Obertyńska przetrwała więzienie i lagier, wyostała się z „komentarzami” Broniewski i Łukowiczówna pisała wiersze w Rumuni. Obok poezji ocalał reportaż, i dziś nadal pracują Wańkowicz, Pruszyński, Fiedler, Janta-Polczyński, a pod pseudonimem por. Herberta łatwo rozpoznać popularnego dawniej autora. Czytujemy też ciągle jak przed wojną felietony Nowakowskiego, Terleckiego, Grabowskiego, Zahorskiej, Zbyszewskiego.

Najciekniej została dotknięta proza artystyczna: jakże mało naliczymy nazwisk, jak skąpo będziemy cytować powieści, czy choćby nowele, nie wymieniamy zresztą ani jednej, która by zdążyła oderwać się od prostego montażu przeżytych zdarzeń wojennych. W najlepszym razie sięgamy do powieściowego reportażu czy reportażem podszytej lotniczej lub morskiej gawędy. Wśród chaosu wypadków i nateżenia sprzecznych uczuć wybucha krzykiem liryka, epika milczy. Choć oddalenie od Anglii ogranicza ścisłość informacji i sadu, zdaje się jednak, że tam subtelnych szkiców Kuncewiczowej byłby jedną pozycją prozy naprawdę literackiej, wydanej pod nazwiskiem zaznającym się w literaturze przed wojną. Gdy więc dziś w postaci niewielkiej, 92-stronicowej opowieści przybywa druga pozycja, zasługująca ona na żywe zainteresowanie mimo treści niewspółczesnej, banalnej, nie przekraczającej tradycyjnego romansu, w którym Numa albo wychodzi za Pompiliusza, albo daje sposobność do dramatycznego zakończenia.

Cokolwiek dałoby się powiedzieć o schematyczności akcji „Faustyny” Obertyńskiej, jest to książka, która wyszła spod wybitnego pióra i, podobnie jak „Klucze” Kuncewiczowej — książka, która nie powstaje bez wojny. Jak „Klucze” są wynikiem tułaczki, migawkowego oglądania Europy w jej najkrytyczniejszym okresie, tak „Faustyna” jest książką stworzoną w ciemności i brudzie, chłodzie i głodzie więziennych przycz. To zaś, co czyni z niej szczególny dokument literacki, jest oddziaływaniem więziennych przeżyć autorki już nie na treść samej, ale na formę pisarską. Wziewienie zmienia człowieka, daje mu inne spojrzenie na świat — więzienie, w zetknięciu z wrażliwą naturą poetki, rozszerzyło swój wpływ na mechanizm jej twórczości. „Faustyna” mogła powstać tylko tam i prawdopodobnie będzie zupełnie zrozumiana i usprawiedliwiona przez tych ludzi, którzy tamto widzieli i przeżyli.

Beata Obertyńska należała przed obecną wojną do czołowych nazwisk naszej literatury kobiecej, mimo, że jej książki, wydawane przez Bibliotekę Medyczną, nie miały tej szerokiej popularności rynkowej, co poezje Pawlikowskiej lub Łukowiczówny. Obciążona artystem dziedzicznie, córka Maryli Wolskiej, artystka lwowskiej sceny dramatycznej, żyła w świecie Lwowa i grandseigneurstwa medycznego gniazda Pawlikowskich, gdzie z arystokratyzmem krwi łączyła się arystokratyczność sztuki. Poezje Obertyńskiej, nawet w najbardziej dramatycznych fragmentach, zachowywały jakby arystokratyczną powściągliwość, miały za sobą szkołę umiaru, który ich burzliwe napięcie zamieniał w lirizm dekoracyjny i estetyzujący. Słowo było dla tej poezji nie krzykiem, ale w równym stopniu narzędziem tłumienia, jak i ujawniania uczuć — środkiem dyskrekcji. Obertyńska związana w połowie z miastem, w połowie z wielkopolską rezydencją wiejską, rozumiała mowę drzew, kwiatów i ziół — ich języka używała dla swoich erotyków. Gdy jedne wiersze były podobne do serwantkowych figurek z porcelany, inne rozdyły się w guseń i strachów, zamieszkujących zieloną noc w alejach starego, zarosłego parku. Środowisko, tradycja obyczajowa i religijna, wytwórność gestu, zasłaniającego uczucie, przedzierająca się poprzez słowa, ucisk obowiązków, wynikających z tradycji — tłumaczyła tę twórczość, pozornie łagodną i sielską, w istocie przejętą podziemną namietnością. To także będzie kluczem do „Faustyny”, wyłamującej się z podświadomości autorki jak złoty nenuraf wypływa na powierzchnię cienistej, nieprzeniknionej wody.

„Stoi przede mną — pisze Obertyńska — prosta, pięćmi odwrócona od słońca i patrzy. Ma suknię koloru dzikiej naparstnicy, szerokim dzwonem krynoliny rozdetą na trawie. Ręce, opuszczając wzdłuż falban i patrzy tak spód czoła wysekując, porozumiewawczo jakby... Patrzy jak ktoś

wzwany i ktoś kto zrobił tę łaskę, że przyszedł i kto zrobił tę łaskę, że jest...”

Zjawia, postać fikcyjna, a przecież żywa, rzeczywistość z pogranicza snu i prawdy! Obertyńska pisze o Faustynie i jej losach jak gdyby stała się one naprawdę; zdaje się, iż rzadko na samego autora zmyślona postać tak działała sugestią swego realnego istnienia. Historia „Faustyny” zmienia się w dzieje, pod którymi staromodny opowiadacz tragicznych losów pięknej panny mógłby podpisać dla wzruszenia czytelników: „postać z prawdziwego zdarzenia”.

Dla Obertyńskiej historia Faustyny istotnie jest prawdziwa, ponieważ oglądała ją własnymi oczyma. Prawdziwa jednak nie w potocznym znaczeniu słowa, ale autentyczna w sensie autentyczności widzenia, wierności odwzorzenia ukazującej się zjawy. Pamiętnik chorego, dziennik gorączkowych zjaw, czy treść mistycznych objawień mogłyby nosić to osobliwe post-scriptum, jakie umieszczono na końcu książki: „widziane maj — grudzień 1941 r. Starobielek, Workuta, Mullokon pod Bucharą. Spisane — sierpień 1942 r. Rechowo, Ziemia św.”

A więc widziane w więzieniu i na zesłaniu. W podróży przepiękną barżą, w miesiejskiej jachtach bydłym wagonem, na ogólnych salach więzień, na brudnej przyczynie wśród hałasu i wrzasku, na twardych deskach wieloletniego postania, wśród nocy, gdy człowiek uciekał wreszcie myśłami od świata, od Azji, katorgi, ludzkiego zezwierzenia.

Jakby naprzekór, jakby na dowód, że nikt nigdy nie uwięził wolnej myśli, powstawała wtedy ta historia, której scenarzysta był pańskim pajacem, podcienia o smukłych, białych kolumnach, rozległe parki z wystrzyżonymi trawnikami, mroczne salony i wiejskie buduary, historia — której kostiumem były krynoliny i żaboty, treścią — namietność łamiąca konwenanse, pojedynki i dramaty, w którym tyleż dramatu ile i towarzyskiego skandalu. Słowem — ucieczka w świat dawny, barwny, jakże odmienny od otoczenia, od chwili bieżącej.

Zjawienie się Faustyny — przynajmniej Obertyńska — nastąpiło wówczas, gdy już „opowiadaliśmy sobie wzajemnie wszystkie pamiętane powieści, nowele, filmy, zdarzenia i plotki”. Ach; jakże dobrze znamy ową mówioną, więzienną bibliotekę, więzienny teatr i film, opowiadania noami! Wzajemne dzielenie się pamięcią nie wyczerpywało wszystkiego: pozostawały godziny pracy, kiedy trudno było rozmawiać, godziny bezsenności, okresy spędzane w karczerze. Wówczas każdy opowiadał sam sobie. Pamiętam, jak przypominam sobie książki Balzaca, jak kto inny wewnętrzna mowa rozmawiał sam ze sobą po francusku i po angielsku, by nie zapomnieć języka. Dziecinna zdolność wymyślania fantastycznych bajek objęła teraz: unosiła nas w interesujące, zmienne światy i przeznaczała bohaterów role.

Lecz i to nie wystarczało. Chcieliśmy, tak długo zamknięci w jednym kręgu miejsca i zdarzeń, choćby jednego promyka światła z zewnątrz, jednego znaku ze świata, leżącego daleko, poza nami, poza więzieniem. I chociaż sen pochodził z nas samych, tudziłmy się, że same marzenia przechodzą z poza nas. Pragnęliśmy wizji, wspomnień, modliliśmy się o przysilenie kraju, domu, rodziców, żony, kochanki. Na koniec — modli-

liśmy się prosto o sny interesujące. Sen taki nazajutrz stawał się własnością przyjaciół. Zupełnie, jak gdyby szczęśliwiec opuścił nagle w ciągu nocy obóz koncentracji i był w teatrze, w kinie, mój Boże! — może nawet „był w życiu”. O świecie kończyła się przepustka wolności, rozpoczynała się praca, a w przerwie obiadowej, przy odgrzewaniu krup uprzewielajowany opowiadał innym treść swoich marzeń.

Czyż nie o tym trzeba pomyśleć, gdy Obertyńska pisze:

„Prostu zapragnęłam nagle, w przystępie niecierpliwości głodu, zobaczyć wreszcie coś ładnego, kolorowego, poznać nowych ludzi, nowe kąty, nowe powikłania, wleźć przez własną głowę w świat inny, wolny, otwarty, gdzieby nie było samej szarżyny i brzydoty, uciec od tego, co mnie otaczało, być raz nareszcie — gdzie indziej — daleko od samej siebie, daleko od tego czasu i przestrzeni, w której mokłam nieruchomo i martwo, od nieskończenia długich miesięcy...”

Zdawałoby się, że przecież w takim tajemniczym „chcę so!”, na oglądanej jakby z wysoka i z daleka scenie wyobraźni powstają wszystkie pomysły, że widzi się tam przechodzące w zamgleniu postacie przyszłych powieści i że posłuszne naszej woli grają one te role, które wyznaczamy im naszym planem. Tymczasem jest charakterystyczną cechą tych stanów, graniczących z somnambulizmem, że Obertyńska nie czuje się obserwatorką, lecz intruzem, włączanym pomiędzy postacie akcji. Snuje się wśród nich; z jej wykrzykników, z gestów zwracanych do bohaterów, z prób interwencji, których oni nie widzą i nie słyszą, wyłania się podobieństwo do stanu sennego kosmaru lub maligny. To samo poczucie obecności wśród ludzi i zdarzeń, wobec których jesteśmy bezsilni. Sen „dzieje się siłą fatalną — napróżno usiłujemy podnieść ramiona, by uniknąć niebezpieczeństwa. Ani świadomość grożącego upadku, ani wola wykonania zabawczego gestu nie mogą nas uratować. „Faustyna” — to sen, przeżywany w stanie półjawy, w którym nie traci on nic z leżącej poza naszą wolą mocy. Zarazem jednak odrywa się od krytycznej samowiedzy, która nam mówi „przecież to tylko się śni” i tym bardziej udaje rzeczywistość.

Nie ma powodu, by nie wierzyć dziwnemu przeżyciu poetki, tym bardziej, że nie po raz pierwszy w literaturze świeckiej, nie mówiąc już o literaturze religijnej, autor powołuje się na autorytet swej zjawy. J. Grant, autorka dość głośnej powieści angielskiej „Uskrzydłony faraon” tłumaczonej po polsku przez Ł. Lutosławskiego, twierdzi, iż miała we śnie dokładną wizję zamierzających czasów Egiptu i książka jej jest tylko dokładnym opisem widzenia. Werner v. Heidenstamm w „Hansie Alienusie” czerpie natchnienie z halucynacji. Obertyńska przewyższa ich uczuciowością w stosunku do swej zjawy, przyznając, że nie słyszała nigdy dialogu, że nie znała wielu istotnych szczegółów i wreszcie w tym, że nie próbuje na ogół dorabiać literackiej konstrukcji, wypełniać luk, jakie pozostawiał chaos przywidzenia.

Kilkakrotnie autorka zdradza się, iż pewne szczegóły, jak widok parku, sceneria, czasem kostium, przypominają jej rzeczy już widziane. Nie raz odezwi się znieczeka najczystszy poetycki li-

POŻEGNANIE Z FAUSTYNĄ

Czy „Faustyna” to dobra książka? Nie, to nie jest wcale „dobra książka”, „Faustyna” to czarująca opowieść, cudowny gobelin, misternie haftowany, z którego kłania się nam prześliczna zjawia w krynolinie nieprawdopodobnej barwy jednego z owych kwiatów polskiego dworu, mieszczuchom nawet z widzenia nieznaną, a co dopiero z nazwy. Autorka jedynie rozjaśnia kolory gobelinu, że znów na moment jeden zagrały życiem. Poza tym gobelinkiem, którego treścią scena miłosna, jest jednak w „Faustynie” — a może poza „Faustyną” — znacznie więcej. I dlatego warto się nad nią zastanowić. Wiele o tym sama Obertyńska najlepiej i we wstępie nam mówi, jak rzeczywistość wkradła się w tkaninę opowieści, czym wobec rzeczywistości była opowieść.

Była ucieczką. I na trwożne pytania, nas, wolnych tutaj, „jak one to wytrzymają, jak sobie będą radzić, jak się będą ratować, czym bronić” — jest „Faustyna” Obertyńskiej jedną z odpowiedzi.

Jest to odpowiedź par excellence kobieca — mężczyzna snubli zapewne sny o potęgę czy też sławie, kobieta marzy o wszechwładnej miłości. Odpowiedź przechodzi nieraz w spowiedź, niezmienne dyskretną i dobrze urodzoną, ale spowiedź. Innego jednak nabiera Faustyna oblicza, gdy Obertyńska opowiada się nie ze swoich win. Wtedy w tych wszystkich swoich powabach jest Faustyna mniej gładka, niżby to obiecywał owal jej twarzyczki.

Bo kogoś wprowadziła Obertyńska do więzienia? Właśnie na przekór wszystkiemu wciągnęła tu za smukłą białą rączką jasnie panienkę Faustynę, — piękno wieloletnie. Jeżeli jednak odrzucimy wyłącznie estetyzowanie, smakowanie owych barw niezwykłych, woni i wrażeń naskórka (jak przystało na gobelin, nie ma tam prawie dźwięków) — to co pozostanie? Pozostanie Faustyna, nieodrodna siostra Izabeli Łękiej. I o niej Wokulski może z bolesną ironią powiedzieć: „Rozumiem kobietę, która wychodzi zamaż dla pieniędzy, choć to głupi rodzaj zarobku... Rozumiem nawet mężatkę, która po szczęśliwym pożyciu nagłe zakocha się i oszukuje męża... Nieraz zamusza ją do tego obawa skandalu, dzieci, tyściec... Ale panna, oszukująca narzeczonego, jest zupełnie nowym zjawiskiem... Spożeczeństwo wytwarza niekiedy ciekawe produkta”.

ryzm, jak gdyby to nie zakochany Konstanty śpiewał swą pieśń miłosną, lecz jakby szła ona z dna duszy Obertyńskiej. W dzień, przesycony zapachem jabłoni, Obertyńska czuje nie miłość Faustyn, lecz swą własną i biegnie aleją, jak Faustyna, ku niespełnieniu, które tu, w śnie, wreszcie się spełnia. Rosnący nastrój świata z czwartego wymiaru, coraz silniejsze nateżenie liryzmu, dramatyczny wewnętrzny współdział autorki w wypadkach zbliżają tę zawołowaną psychoanalizę spowiedź do nastroju misterium, w którym aktor dokonując zbrodni oczyszcza nas dreszczem u-niesienia z niewyżytej chęci, z niedokonanego zła.

Konsekwentne podanie dzieł Obertyńskiej w takiej formie, w jakiej ukazały się autorce, ograniczyło w opowieści rolę literackiego rzemiosła, słowo stało się sprawozdawczym, stało się obliczem obrazu. Odpadła kompozycja, zniknął dialog, nie stało miejsca na analizę wydarzeń. „Faustyna” jest — jeśli pominąć liryczne dygresje — scenariuszem filmowym. Metoda filmowych „przebitków”, płynnych przejść jednego obrazu w drugi, doskonale przylega do płynności sennej opowieści; tragiczny finał opowieści śpieszy w migawkowych ujęciach ku scenie, gdy rozburzona, pienista topiel zamieni się w mgłę, przesłaniającą wszystko, jak gasnące światło zacierając kontury przedmiotów na ekranie.

Oczywiście jest to scenariusz dawnego filmu niemego i tak jak film niemy, nie mając dialogu, musiał zastępować wprowadzać napisy objaśniające lub straszące rozmowy, tak samo w „Faustynie” obok fragmentów wizyjnych wkrada się kilka refleksyjnych momentów. Gdy Obertyńska pisze: „Narzeczeństwo przewlekają się dzięki temu, że po jego ukończeniu należało jeszcze wyczekać przyzwolą pauzę, dzielącą smutek od wesela” — to nie jest to naturalnie rzecz widziana. Jednak komentarz tego typu jest niewiele, jak i niewiele zastępczych dialogów, poprzedzanych zwrotem: „Mówi mi, że” i posługujących się oratio obliqua. Całość pozostaje na ogół wierna postawionemu założeniu i temu też „Faustyna” zawdzięcza swe opętujące uroki.

Jak sugestia snu trwają one, póki się czyta książkę, póki jest się pod wrażeniem obrazu i słowa. Gdy czar mija, podobieństwo do filmu nasuwa niebezpieczne skojarzenia, iż schemat „Faustyny” nie wiele odbiega od typu romansów w rodzaju „Trędowatej”. Ostatecznie, wiele powieści, wiele dramatów da się sprowadzić do nieefektownego protokołu wydarzeń, a wartością dzieła pozostaje sposób powiedzenia rzeczy prostych, myślowy kokon, jakim autor otacza fakt nagi i suchy. Obertyńska jednak, marzując o sobie, wiele dramatów da się sprowadzić do nieefektownego protokołu wydarzeń, a wartością dzieła pozostaje sposób powiedzenia rzeczy prostych, myślowy kokon, jakim autor otacza fakt nagi i suchy. Obertyńska jednak, marzując o sobie, wiele dramatów da się sprowadzić do nieefektownego protokołu wydarzeń, a wartością dzieła pozostaje sposób powiedzenia rzeczy prostych, myślowy kokon, jakim autor otacza fakt nagi i suchy.

Jakaż więc literacka racja takiego utworu? Czymże jest „Faustyna” poza tym, że stanowi niezwykle ciekawy dokument psychologiczny czasów więziennych i troskliwe zanotowane świadectwo psychoanalizy?

Jeżeli patrząc na „Faustynę” jak na zbiór obrazów, opowiadających prostą historię miłości — ocena nie będzie się wiązać z treścią akcji, ale z jej artystycznym oddaniem, z miarą sugestywnej siły, z jaką pogrążyła nas wizja Obertyńskiej w widzenie podobne tamtemu, które nawiedziło poetkę na przycz więzienną. Będzie „Faustyna” bliska nie przeciętnym romansom filmowym, ale czeskiemu filmowi „Ekstaza”, w którym akcja schodziła na plan drugi, a poszczególne sceny stawały się poematami o nastrojach miłości. Podobnie kartki „Faustyny” robią nieraz wrażenie szkicu wiersza, są poetycką impresją, próbą stojącą na pograniczu poezji i prozy i byłoby zarówno krzywdą jak i błędem oceniać je jak kartki noweli. Poprzez „Faustynę”, tak jak poprzez wodne szkice lirycznego wiersza, widzimy nie bohaterów opowieści, lecz autorkę samą. Ukazuje się nam pochłonięta urodą kwiatów, czarami drzew, schylona z chęciwym zachwytem nad pięknoską sukni i klejnotów, rozmakowana w opisie miąższu brzo-skwini z tą świadomością smaku, jaką wytwarza głód. Wiersze Obertyńskiej chwytały aurę rzeczy, nie rzecz samą, coż więc dziwnego, że narracja wydaje się niejednokrotnie urwana, nieporadna, jakby niechętna koniecznym połączeniom treści, czekająca na chwilę, gdy będzie mogła wybuchnąć liryzmem, mówić o kwiatkach rosnących „w bezszalestnym zgiełku istnienia, w tłumnym nieruchomym wysięgu ku własnej zagadzie. Zapewne Faustyna schyla się nad kwiatami i zrywa najpiękniejsze, najbardziej wyniesione ponad inne, jak gdyby w stosunku do kwiatów sprawdzało się przysłówie o ukochanych przez bogów, którzy umierają młodo...”

Powtarzając treść widzeń, praca literacka Obertyńskiej sprowadziła się do cyzelowania słowa. Ale to słowo jest raczej gładkie i przekonywujące w wierszach świetnej poetki, niż w prozie, która ma swoje odrębne wymagania i tylko niekiedy ustępuje kształtującej ją poetyckości. Jeżeli mimo to ponad rytmikę wiersza wybrała poetka w danej chwili opowieść o Faustynie, być może była ona wewnętrznie jej koniecznością. Być może, wewnętrzne istnienie Faustyny w samej wyobraźni autorki było czymś niedostatecznym, niezaspokajającym i dopiero ujawnienie, utrwalenie w pi-sanym kształcie dawało upragnioną catharsis. Być może, było nawet potrzebne rozmyślane wzbudzenie podejrzenia, gdy na bohaterkę spłynęło „jak motyl na kwitnące ziele” imię Faustyna, bliźniacze Faustowi, wskrzeszającemu z całą niewyżyta namietnością minioną młodość...

Zdzisław Broncel

Rękopisy do Redakcji należy adresować nie osobowo: — Redakcja „W Drodze”, Jero-salem, Bezalet street, House Valero.

Rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca.

JOZEF CZAPSKI

TEMPO I JAKOŚĆ PRACY

„...Si par inspiration, on entend l'énergie
l'enthousiasme intellectuel et le pouvoir de ten-
sion ses facultés en éveil”.

Baudelaire o E. A. Poe.

Pracowitość bez uwagi, inteligencji może być inaczej ale nie mniej szkodliwa od bezczynności; szkodliwsza nawet, bo może spacyfikować, zmanierować, tak samą pracę zafałszować, że ją znienawidzić można. Bo chodzić powinno przede wszystkim o podnoszenie jakości wysiłku, a nie ilości.

Ilość nie tylko wolno, ale i trzeba podnosić, ale jedynie wtedy, gdy jakości się przez to nie obniża.

Konflikt między pragnieniem powiększenia ilości przepracowanych godzin a jakością pracy jest widoczny na POCZĄTKU (według

ciągnięcia. To zatrzymujemy się za prędko, po dniu takich prób, takiej ostrożności, nie sfalszowaliśmy nic na płótnie, ale malowaliśmy tak mało, że i temperatury podnieść się nam nie udało; wtedy znów naciskamy na czas, forsujemy nieuwagę, tępość, lenistwo wewnętrzne, gwałtowną niechęć uważnego, ściśłego patrzenia (ileż razy przypominamy mi się słowa Brzozowskiego: „lepiej wisieć na haku, niż myśleć” — i parafrazowałem te słowa na „lepiej wisieć na haku niż patrzeć”) i znówu przeciągamy strunę. Po dniu takiej pracy mamy płótno pełne błędów ale przecież temperatura pracy jest trochę podniesiona, więc dzień nie jest stracony i nazajutrz praca idzie jakby łatwiej i wierniej. Chociaż nieraz, jeśli

ty, przyjacielem Zygmunta Krasińskiego, który znów malował szarymi sosami arcywniosko lub arystokratycznie twarze, byli bożkami jakże wielu intelektualistów i arystokratów XIX wieku.

Głębokie nieporozumienie między malarstwem nie ujawniło się nigdy chyba tak silnie, jak właśnie wówczas, kiedy Krasiński przyjaźnił się z Scheferem, nie wiedząc nic o genialnym Delacroix, którego nawet w towarzystwie musiał spotykać (Delacroix spotykał Delfinę Potocką i pisał o niej z najwyższym zachwytem w swoim dzienniku, a Krasiński robi Delfinę sceny zazdrości o Delaroche'a) i kiedy o parę dziesiątków lat później wielki Renan podziwiał Scheferów i Delaroche'ów, portretuje się u Bonnetta — nie wie nic, albo prawie że nic nie wie nie tylko o „rewolucjonistach” tego typu, co impresjonisci, ale również o genialnym, przeżartym kulturą i inteligencją Degasie.

Kiedy mowa o teoriach malarstwa, o takich czy innych koncepcjach malarskich, które wstrząsały światem malarskim XIX wieku, od romantyzmu Delacroix, poprzez realizm Courbetta, poprzez naturalistów, Maneta, impresjonizm etc., należy wspomnieć o Corot, jako pozywej całkiem osobnej. Kiedy przy Corocie mówiono o teoriach malarskich, o tym jak malować należy, Corot zrywał się, nie rozumiał potrzeby takich rozmów, mówił: „to o wiele prostsza rzecz, to malarstwo” i malował spokojnie dalej. Ale na tle XIX wieku Corot jest chyba jedynym tego rodzaju wyjątkiem, malował, jak ptak śpiewa. Jeżeli patrzymy na jego płótna od wczesnej młodości do późnej starości, od wczesnych i jakby doskonałych płócien włoskich, do wspaniałych portretów i pejzaży, malowanych w starości, mamy wrażenie, że ten człowiek miał zawsze absolutny zmysł malarski. Kiedy wracał z Włoch po paru latach studiów, powiedział te słowa: „A teraz słońce Francji nauczy mnie, jak mam malować”. Co roku, przez wiele dziesiątków lat, spędzał lato na wsi, malował z fajeczką w ustach małe pejzaże, a potem kiedy wracał jesienią do pracowni i z tych małych pejzaży komponował swe obrazy, to mawiał, że w tych chwilach wszystkie ptaki Francji ćwierkają w jego pokoju. Nikt w XIX wieku nie miałby prawa tak jak Corot powtórzyć słowa Dürera: „Czym jest piękno, tym jest lepsze. Nie wyobrażaj sobie, że mógłbyś zrobić cośkolwiek lepszego niż to, co Bóg stworzył. Z siebie samego człowiek nie może wykonać żadnego dobrego obrazu, ale jeżeli długo badał przedmiot i cały nim nasiąknął, to sztuka tak zasiana przyniesie owoc i wszystkie skarby tajemne serca będą wyrażone w dziele, w nowym stworzeniu”.

Ale w XIX w., którego, czy chcemy, czy nie chcemy, jesteśmy spadkobiercami, ma-

derskiej ściśłości i wierności, wąskiej, ściśle walorowej gamie barwnej, ten Degas zawsze niezadowolony z siebie, który jako starzec już, patrząc na stopy swych rysunków, powiedział skromnie: „parę z tych rysunków zostanie”, przeżywa wszystkich swoich współczesnych i oślepły, z twarzą ślepego Homera i rozwiartą brodą, błądzi po ulicach Paryża, półprzytomny, opuszczony, osamotniony, wtedy kiedy jego obrazy są już kupowane za bajoniskie sumy przez Amerykanów... Tak samo Gierymski, który w naturalizmie swoim graniczy z szalenstwem, malując każdą cegłę z osobna i każde niemal ziarenko piasku w swych „Piaskarzach nad Wisłą”, Gierymski, który wspaniały swój obraz „W altanie” kraje na dziesiątki kawałków tak, że dzisiaj mamy tylko z tego obrazu mały cudny wariant z „Zachęty”, spalony dzisiaj przez Niemców, i niektóre strzępy wielkiego płótna, Gierymski, znów osamotniony, zgorszony umiera w Rzymie w domu dla umysłowo chorych. Ci trzej malarze są stokrotnie bardziej wyraziście duchem swej epoki, niż Corot. Dlaczego wspominać o tych mistrzach, pisząc o pozornie błahych trudnościach technicznych naszej skromnej pracy? Dlatego, że widziałem już na twarzy niejednego artysty usmiech wyższości, kiedy poruszał sprawę trudności malarstwa, kiedy starał się zainteresować pozornie lubiącego sztukę laika problematyką malarstwa. Problematyka, analiza malarska, walki, konflikty takich czy innych kierunków, wszystko to do niedawna uważane było przez ogół w Polsce za dowód bezpłodności i braku talentu. Otóż twierdzą, że jest to nieporozumienie, że lekceważenie tych różnorakich prądów i nurtów malarskich, to lekkomyślne i płaskie traktowanie wszelkiej pracy artystycznej, które wyrzuciło przez dziesiątki lat poza nawias społeczeństwa sztukę takiego Norwida, które dotychczas otacza atmosferą chłodnego, obojętnego szacunku malarza tej miary co Gierymski, — wpływa fatalnie na rozwój sztuki w Polsce. Jedyną odpowiedzią na to, musi być najbardziej wnikliwy, krytyczny stosunek do własnej pracy. Musimy zrozumieć, że natchnienie właśnie, to jest „zdolność utrzymywania swych władz w napięciu, energia i entuzjazm intelektualny”, że zagadnienie „oddechu malarskiego”, techniki pracy w najbardziej suchym tego słowa znaczeniu, jest potrzebne nie tylko średnim talentom, bo wielu właśnie traktowali te sprawy najpoważniej.

Artystów, borykających się z trudnościami, zaplątanych jest bardzo wielu, ale naszkutek braku uświadomienia sobie pewnego lenistwa myśli czy zakłamania, płynącego ze strachu przed przykrą diagnozą, albo z braku czujnego malarskiego środowiska, które ostrzega i budzi, wielu z nich z trudnym do malarstwa podejściem zatrzymuje się po drodze, albo zupełnie schodzi na manowce.

Genialność nawet nie jest wolna od tych problemów, zatorów. I że nie jest ona zawsze związana z łatwością, świadczą chociażby wyżej wymienione przykłady. Poza tymi zaś jednostkami wyjątkowymi, są tysiące ludzi z



ALEKSANDER GIERYMSKI
Trabki

mego doświadczenia), to znaczy, kiedy po dłuższej przerwie rozpoczynamy znów systematyczną pracę malarską. W pierwszych dniach zdolność „de tenir facultés en éveil”. zdolność nawet względnej ale ciągłej koncentracji jest bardzo słaba. Po kilkunastu minutach nawet przychodzi zmęczenie, opadanie czujności, — i tu nie trzeba dać unieść się pozorom, nie „zamazywać” swej własnej bezsilności. Zamiast dalej pracować, dalej pisać, utrzymywać „pozory pracowitości” przed samym sobą — przerwać, ale przerywać nie poto, aby robić co innego, czy gadać, ale żeby „faire la plache”, żeby zupełnie bezzwrotnie i bez ruchu odpocząć, ale poto, żeby znów wrócić do płótna z nową, świeżą uwagą. W pierwszych dniach pracy, choć to brzmi dziwnie, kilka minut pracy co godzinę (kilka, których ilość wzrasta do kilkunastu, a potem rośnie coraz szybciej), wśród okresów przełączanych absolutnie beczynnymi i samotnie, szybko i czysto nas przybliżają do pracy pełnej, jak zakupywanie się od początku, z jednoczesnym zaplątywaniem się we własne błędy, płynące z nierównej, „skaczącej”, nerwowej wrażliwości.

Wskazówka ta jest naturalnie bardzo schematyczna, trzeba ją stosować bardzo czujnie i bardzo indywidualnie. Trzeba mieć już siebie bardzo w rękach i znać dobrze swoje braki, być bardzo zgranym ze swoją paletą, żeby (rzadkie szczęście) po przerwie nie wpadać w stare błędy, w prace niższej wszelkiej krytyki, w przedzieranie się przez okropny chaos własnych błędów i fałszów, a nawet jest to nieraz konieczne, bo „podgrzewanie” własnej wrażliwości, podnoszenie uwagi i temperatury pracy nie rusza się z miejsca bez tego rozpaczliwego i nieraz jakby bezsensownego wysiłku, który prowadzi nas przez własne błędy, przez obrzydzenie do własnych prac. Gdy raz jednak weszliśmy na tę drogę, nie powinniśmy za szybko, za łatwo uciekać przed popełnionymi błędami. Zepsute płótno dobrze jest dopracować do ostatnich granic możliwości, nie opuszczać, dopóki jeszcze jest cień nadziei, by watek płótna uratować; tak tylko można najszybciej wyżyć, przezwyciężyć swoje zatory i „zaciągnięcia”. Rzucając z łatwością płótno, w którym zabrnęliśmy w błędy, nie przewyżcimy powodu tych błędów, ale grozi nam ich powrót pod podobną, czy inną formą w płótnach następujących. Zamiast jednego przemęczonego płótna, mamy szereg płócien chaotycznych, niedoprowadzonych i do tego płytkich.

Rzucanie płótna przy pierwszym błędzie, rozrzutność materiału, zrywanie, prowadzenie szeregu płócien naraz — na to możemy pozwolić sobie już o wiele później, kiedy temperatura pracy jest naprawdę wysoka, kiedy już mamy wizję całości, błyskawiczne widzenie, chociaż i wtedy trzeba uważać na rozrzutność i chaotyczność, nakładając sobie hamulec.

Początek pracy to właśnie ciągłe nieutrącanie swojej NORMY, — niedociąganie i prze-

przeciągnięcie jest za ostre, musimy znówu odprężyć i wysiłek swój na drugi dzień kurczyć, i tak z dnia na dzień, aż wreszcie wyrasta z tego coraz pewniejszy instynkt pracy, który już bez specjalnej uwagi WIE, kiedy trzeba, a kiedy nie trzeba pracować.

Jakość zaś wysiłku zależy od narastania wrażliwości i koncentracji, czego skutkiem jest narastanie precyzji oka i ręki (ale precyzja oka, nie precyzja ręki jest zadaniem pierwszym i najistotniejszym). Precyzja oka w łowieniu odcieni, wzbogacenie wrażliwości przez coraz głębsze, coraz muzykalniejsze reagowanie na wzajemne działanie barw, na walory, na ciepło-zimne kontrastowanie, na kompozycje, na wzajemne oddziaływanie plam i brył w całości, — praca ku **jednoczesności widzenia**, ku bezwzględnemu podporządkowaniu każdej plamy, każdej kreski całości. Każdy ma inne trudności, to też w miarę pracy i zależności od naszych braków musimy akcent naszego wysiłku przesunąć na różne słabe punkty naszej wrażliwości. Pamiętać musimy, że wrażliwość na działanie barwne bez wrażliwości na całość kompozycyjną nie może dać obrazu, tak samo jak poczucie kompozycyjne bez wrażliwości barwnej nie może dać malarstwa, bo nie może być obraz barwny, w którym jeden z zasadniczych elementów jest lekceważony albo ujmowany bez wycucia i bez świadomości. (Przepaść pomiędzy świadomym Gierymskim i Chełmońskim, u którego gra malarska jest czasami sprawą szczęśliwego przypadku, a czasem nie istnieje w ogóle).

Nie tylko świadomość malarska, ale i wrażliwość na kolor nie są wartościami stałymi, mogą zanikać i rosnąć. Zatrącenie świadomości, znaczenia barwy w obrazie, tego podstawowego elementu malarstwa w XIX w., i to wśród naprawdę elity ludzkości, ilustruje rozmowa, zanotowana przez Goncourtów. Jeden z braci spotkał Renana, który zaczął mu wytłumaczać, że Schefer i Delaroche są niewątpliwie najwybitniejszymi malarzami XIX wieku, bo wyrażają w pięknych kształtach uczucia wzniecone. Goncourt, który miał żywy stosunek do malarstwa, znał Degasa, odkrywał japoński drzeworyt, interesował się Manetem i naturalnie nie znośił tych obu tak sławnych wówczas malarzy bez znaczenia, spytał na to Renana, czy zechce mu powiedzieć, jakiego koloru jest obicie w jego sypialnym pokoju. Renan nie mógł odpowiedzieć na to pytanie, bo koloru obicia nie pamiętał. Wtedy Goncourt zwrócił Renanowi uwagę, że o malarstwie mają prawo wypowiadać się jedynie ludzie, dla których kolor istnieje... Ta anegdota jest bardzo charakterystyczna. Delaroche, współczesny Delacroix, malował sceny historyczne, które robiły duże wrażenie na młodym Matejce, malował portrety Czartoryskiego i Krasińskiego, cieszył się wielkim powodzeniem i sławą. Dobroduszny Delacroix, który niechętnie mówił o kolegach, wyrażał się jednak o Delaroche'u, że maluje woskiem i atramentem. Otóż właśnie ten antykolorysta i arcytematowiec razem z Ary Scheferem, również, nieste-



EDGAR DEGAS
Baletnice

larzy tego typu prawie że nie ma. Tacy specjaliści jak on nie potrzebują tyle analizować, nie potrzebują zdobywać z takim trudem świadomości malarskiej. Weźmy Degasa, Cezanne'a, Gierymskiego, co za uparta, nieprzerwana praca świadomości, praca krytyczna inteligencji, prowadzona równocześnie z samą pracą malarską. Cezanne przed śmiercią jeszcze porównuje siebie do Mojżesza, który widzi Ziemię Obiecany, ale wejść do niej nie może; Degas, który do śmierci jest rozerwany między tradycją linearną Ingres'a i malarską Delacroix, wystawia razem z impresjonistami i chce strzelać do nich jednocześnie za ich braki kompozycyjne; Degas, który obok obrazów rewolucyjnie barwnych ma portrety o holen-

wiekszym lub mniejszym talentem i ci właśnie giną, wypełniając świat bladą tandetą zakłamaną, pozorami sztuki, z powodu braku metody, braku ostrego, krytycznego spojrzenia na swoją pracę; braku metody, nie metody machania pędzlem, ale metody wysiłku wewnętrznej. Ilość tych zgubionych, beznadziejnych, a nawet szkodliwych dla sztuki i przeważnie nieszczęśliwych artystów jest od początku XIX wieku specjalnie liczna, czy nie właśnie z powodu zagubienia poczucia na czym polega istota malarstwa, oraz na braku szkoły w tym istotnym, głębokim znaczeniu, zastąpionej akademiami coraz liczniejszymi i coraz bardziej fałszującymi naukę o malarstwie.

*) Por. nr. 9 „O technice malarskiej. Urywki z dziennika”.

JAN JANUSZ

POLSKA PRACA NA OBCEJ ZIEMI¹⁾

Wolność i chleb rosną razem. Czego potrzebą, ażeby odpaść głód od szwajcarskiej ziemi? Gleby uprawnej, nasion i rąk chętnych do pracy! Gleba jest, choć skąpa i kamienista, ale opłaca trud. Jest również ziarno siewne; choć już nie w nadmiarze, — ale wystarczy. Szczęśliwie nie brak również woli do pracy. Wysilki chłopów są olbrzymie. Dziesiątki tysięcy ludzi żyje w miastach, ludzi, którzy kiedyś trudnili się pracą rolną. Winni oni znów przejściowo stanąć do uprawy zagonu, współdziałając w walce narodu o wolność wyżywienia... Gdy wszyscy chcą jeść, — wszyscy muszą pracować...

Oto słowa, którymi apelowała prasa szwajcarska do ofiarności społecznej z okazji zbiórki w dniach 2 i 3 maja 1942 r. na Fundusz Narodowej Rozbudowy („Nationale Aufbaufond“) i zwiększenie wytwórczości rolniczej według planów, opracowanych z inicjatywy dra F. T. Wahlena, szefa sekcji produkcji rolniczej wojennego urzędu wyżywienia, który na jesieni 1940 r. opracował odpowiedni plan gospodarczy i któremu już w następnym roku udało się zwiększyć powierzchnię uprawną ze 180 do 270 tysięcy ha.

Pomoc rolnikom w ich pracy, to jedno; zdobywanie nowych terenów — to drugie wielkie zagadnienie. To drugie zagadnienie w warunkach szwajcarskiego rynku pracy jest jeszcze trudniejsze od pierwszego. Siekiera musi iść do nieużytków leśnych, na zalesione mokradła i zadrzewione brzozy rzek.

„W tym samym czasie, — nawoływał dr. Wahlen, propagując swój plan, — gdy krajowi braknie ziemi i drzewa, organa leśne muszą również wznieść się na wysokość czynu i odstąpić swe okręgi pod karczowanie... Tysiące internowanych stale jeszcze nie są wystarczająco zatrudnione. Tysiące bezrobotnych — muszą być pożytecznie zajęte“.

Nie widzieliśmy w kantonie Valais zatrudnionych przy karczunku dawnego dna Rodanu robotników szwajcarskich, widzieliśmy jednak stworzone tu w tym celu trzy obozy polskie, których w najbliższych czasach ma powstać więcej. Czy trafili oni tu dlatego, że w innych kantonach Szwajcarii nie mieli zatrudnienia? Nie. Internowani Polacy niemal zaraz po przekroczeniu granicy w dn. 19 czerwca 1940 r. rozpoczęli pracę zbiorową na wyznaczonych im robotach, bądź też pracowali pojedynczo u chłopów. Nie ma ścisłych cyfr statystycznych, sadzę jednak na podstawie różnych danych, iż w ciągu 1941 r. około 50% internowanych żołnierzy pracowało stale lub dorywczo u gospodarzy rolnych, ku pełnemu zadowoleniu tych ostatnich. Reszta (poza nielicznymi obozami oficerskimi, grupami starszych podoficerów i obozami uczelnianymi, pracującymi fizycznie tylko w okresie ferii międzysemestralnych) zatrudniona była zbiorowo przy robotach drogowych, strzelniczych i t.p. powierzonych im zadaniach.

Z końcem 1941 r. i następnie z wiosną 1942 coraz więcej obozów zwartych, jak i żołnierzy pojedynczo pracujących u chłopów, poczęto przerzucać na roboty karczunkowe i melioracyjne. W ten sposób poczęli oni być zatrudniani inaczej. Ale uprzednio też byli zatrudniani i powierzone im zadania wykonywali dobrze. Nie jedzą oni na internowaniu chleba za darmo. Pracują na ten chleb czy na fermach „Bauerów“, czy przy zdobywaniu nowych terenów pod uprawę, czy przy drogach, i w pracy tej są dzisiaj Szwajcarii potrzebni. Przez przypadek uzupełnili żołnierze polscy brak rąk robotniczych w Szwajcarii, i uzupełnili ten brak rąk właśnie na odcinku, gdzie dawał się on w Szwajcarii specjalnie we znaki. — t.j. w rolnictwie. Mówił przecież dr. Wahlen w dn. 15 listopada 1940 r.: „Rolnictwo szwajcarskie wstąpiło w okres wojny pod znakiem chronicznego braku pracy. Były lata krzyzysowe, w których mieliśmy sto tysięcy bezrobotnych, gdy podstawowa produkcja z trudem zabiegała o utrzymanie użytecznych, choćby niewykwalifikowanych sił roboczych... Obliczono, że rolnictwo w lecie 1939 r. przy lepszych cenach produktów i lepszych warunkach wynagrodzenia mogłoby dodatkowo zatrudnić 30 do 40.000 robotników“²⁾.

Internowany żołnierz polski stanął do pomocy szwajcarskiemu rolnikowi. Stanął do tej pomocy nie tylko w zagospodarowanych już fermach, lecz również przez zdobywanie nowych terenów.

Głuchą biją siekiery w pnie drzew na karczowanych terenach obozu pracy w Granges. Sześćdziesiąt tysięcy łopat na napotkanych korzeniach i kamieniach. Pot perlisty pokrywa czoła i obnażone do pasa ciała. Maszyna nie pomaga w tej pracy człowiekowi. Traktor ciągnie drzewa z korzeniami tylko w wielkich lasach. Tu dno Rodanu nie zdołało jeszcze porośnąć wielkim borem. Porosło jednak gęsto młodymi pniami grabów, olch, brzozy i strzelistych topoli.

Tereny w Granges są kamieniste, miejscami podmokłe, miejscami suche. Karczowanie nie postępuje stopniowo, metr za metrem,

hektar za hektarem. Przydzielony z Berna kierownik uprawy, p. V., wskazuje pola, które wydają mu się najlepsze dla szybkiego zagospodarowania. Tereny gorsze, wymagające dłuższej pracy nad przysposobieniem ich pod uprawę, pozostawia się dalszym etapom pracy. W ten sposób pośród gąszczy zieleni powstały zaorane łysiny żółto-brunatnych pól. Po siekierze łopata zniwelowała grunt, traktor zaoberał ziemię i ręce ludzkie zasadziły kartofle, kukurdużę, pomidory i cebulę.

Nie jest tego dużo. Oboz w Granges (koło Sion) powstał w dn. 16 kwietnia 1942 r. Do dnia 10 czerwca skarczowano, zniwelowano i zasadzono jarzynami 8 hektarów.

Po Illarsaz — mówi mi nasz komentant obozu, kpt. inż. Stanisław J. — może się panu wydawać, że to mało. Mieliśmy jednak szereg trudności technicznych z zaczęciem pracy. Do dzisiejszego dnia brak nam jeszcze wielu narzędzi. Gdy pan rzuci okiem na oboz, zobaczy pan, że jeszcze nie wszystko urządzone. Przyłane narzędzia pracy do karczunku okazały się dobre. Nie mamy jednak własnych kowali i reparaujemy je przy pomocy dwóch prywatnych kowali szwajcarskich. Do zaorania ziemi wynajęto dwa traktory, płaćąc po 15 fr. za godzinę. Mamy tylko 4 pary koni. Słabą stroną jest brak pomp, wskutek czego zasadzone jarzyny musimy podlewać konewkami na tak znacznych przestrzeniach. Raporty i naciski szwajcarskiego komendanta obozu, por. Q., i kierownika uprawy, p. V., dotychczas nie odniosły skutku. A szkoda, gdyby praca nasza nie miała wydać w tym roku rezultatów. Robimy jednak wszystko, co nam polecają.

W Illarsaz — wtrącam — zasadzone kartofle i jarzyny przyjęły się; tylko w ogrodzie obozowym, gdzie uprawia się wyższe kultury, żołnierze skarżą się, że jarzyny rosną słabo. Zobaczymy — przecież to praca pionierska. Ziemia musi pokazać, do czego jest zdolna.

Tak, ale u nas ziemia jest bardziej sucha, a opadów deszczowych mało; trzeba koniecznie podlewać i bez pomp wszystko zmarnuje się.

Kapitan J. jest oficerem artylerii, inżynierem mechanikiem. Jest on jednym z czynniejszych oficerów, którzy na internowaniu pozostali i pracują z żołnierzami. Niestety, wielu oficerów musiało przejść do specjalnych obozów oficerskich, a to wobec ścisłego określenia przez władze szwajcarskie stosunku ilości oficerów do szeregowych w obozach pracy, część oficerów znalazła się również w obozach uniwersyteckich.

Kapitanowi J. pomagają w obecnej pracy por. A. W., por. M. P. i ppór. J. R. Każdy z nich ma grupę pracy po 40 — 50 ludzi.

— Ilu jest żołnierzy w obozie?

— Stan w dn. 10 czerwca: 172, w tym czterech oficerów i 44 podoficerów. Pochodzą oni z różnych oddziałów.

Niestety, wszędzie to samo. Poszczególne pododdziały Dywizji, nawet mniejsze jednostki, zostały porozbijane dyspozycjami władz szwajcarskich, żołnierze porozdzielani i oderwani w większości od swoich właściwych dowódców.

Oczywiście, — ciągnie dalej kpt. J., — część stanu musi pracować w samym obozie, w kuchni, w magazynach, przy stawianiu i porządkowaniu baraków. Dwunastu ludzi zabrano mi do St. Leonard, gdzie pracują na rzecz gminy przy naprawie tamy.

— Jak pan kapitan ocenia tych ludzi?

— Obecnie jest zupełnie dobrze. Paru bardziej niekarnych zostało wydalonych. W obozie przebywa około 80% Polaków z Francji i 20% z kraju. Żołnierzy inteligentów jest dziesięciu, w tym paru studentów, paru urzędników i bankowców z ukończonymi studiami wyższymi. Pracują wszyscy dobrze i chętnie, aczkolwiek od czasu do czasu powstają różne kwasy, przeważnie na tle jedzenia. Nie dawniej niż wczoraj podniesiono mały bunt z powodu kartofli, które zresztą nie były wcale takie złe. Zobaczy pan zresztą sam, gdyż kazałem je zatrzymać.

W biurze, gdzie odbywamy tę rozmowę, pracuje dwóch strzelców-inteligentów. Prowadzą administrację obozu, ewidencję personalną, obliczenia zaroków i są w stałym kontakcie ze szwajcarskim „fourierem“, który przydzielony jest do każdego obozu internowanych dla rachunkowości, wyżywienia i gospodarki materiałowej.

Wychodzimy na teren obozu. Na pierwszy rzut oka widać, że ten kto planował nie zadał

sobie wiele trudu. Baraki są rozrzucone chaotycznie dookoła placu. Na środku wzniesiono niedawno duży barak świetlicowy, w nim bardzo porządnie urządzone sklepy, kantyna we współpracy z biblioteczką obozową, dostarczoną przez YMCA. Kantyna należy do typu spółdzielczych, prowadzonych we własnym zakresie pod ogólną opiekę YMCA, zresztą natury raczej formalnej. Nie zanotowałem nazwiska podoficera, prowadzącego sklepy i biblioteczkę; z wzorowego porządku, panującego w jego gospodarstwie, widać od razu, że służyć może jako wzór dla innych. Świetlica otwarta dopiero od 10 dni i niestety, nie się w niej jeszcze nie dzieje. Na ścianach brak ozdób, portretów, brak też gier — i jak często, niestety, — systematycznej pracy świetlicowej. Oboz stara się właśnie o pozyskanie wewnętrznej wyposażenia świetlicy od YMCA i Komitetu Kulturalno-Oświatowego.

Niemal przy wszystkich barakach wokoło placu uwijają się żołnierze, dopasowujący drzwi, okna i dokonyujący różnych przeróbek. W barakach mieszkalnych, które w obozie w Granges są wyjątkowo małe i mieszczące na dwóch kondygnacjach zasadniczo około 24 ludzi. Powstaje właśnie zagadnienie rozszerzenia ilości miejsc do 28, gdyż do obozu przybyć ma 20 żołnierzy z Montany. Przy kuchni, w skrzynce, leżą ugotowane w żupniach kartofle, które w dniu wczorajszym wywołały wspomnianą burzę. Kartofle są małe, po przełamaniu miejscami czarne — to prawda. Ale... Niedawno w obozie uniwersyteckim w Winterthurze widzieliśmy jeszcze gorsze. A w kraju pewnie i takich nie mają...

— Jak to jest właściwie z tym wyżywieniem? — zapytuje kpt. J.

— Zasadnicza racja dzienna, przewidziana dla żołnierza niepracującego, wynosi: 360 gr. chleba, 80 gr. sera, 170 gr. mięsa (przeciętnie dziennie) plus 0,53 fr. na różne dodatki. Żołnierze szwajcarscy dostają wyżywienie w tych samych normach, z tym że dodatek gotówkowy wynosi 0,73 fr. Żołnierzom wykonyującym „Mehranbau“ przysługują specjalny dodatek gotówkowy w wysokości 0,50 fr. W tych granicach trzeba gospodarować i nie się nie poradzi. Później dowiedziałem się, że już przed miesiącem władze szwajcarskie w Bernie zgodziły się, na interwencję dowódcy Dywizji, podwyższyć dla internowanych zasadniczą stawkę gotówkową z 53 na 73 ctm., zrównując ją ze stawką dla żołnierzy szwajcarskich. Niestety jednak, jak to się często zdarza, decyzja ta, w ciągu miesiąca nie doszła jeszcze do obozów.

Notuję te cyfry i nie mogę ciągle pozbyć się natrętnej myśli o Kraju. Matka niedawno pisała mi: „nie poznasz mnie po powrocie; straciłem już blisko połowę wagi...“ Ciężka praca wymaga odpowiedniego wyżywienia. To prawda. Ale w kraju, czy w niemieckich obozach pracy, też ciężko pracują i napewno nie mają i tych norm. A wojna przedłuża się w nieskończoność...

— Nie jest to dużo, — zamyka kłopotliwe zagadnienie, — ale trudno. Nasi kucharze muszą wkładać więcej wysiłków w przygotowanie z otrzymanych towarów lepszego jadła.

Nie mniej stwierdziłem, że zupa jarzynowa, t. zw. „płynne mięso“ z kartoflami, którymi to przysmakami poczęstowano mnie w Granges, — złożyła się na całkiem nienajgorszy obiad.

— To dlatego, — usiłował rozwiać mój entuzjazm żołnierze, — że wczoraj zrobiliśmy awanturę.

Skacząc z wzgórka na wzgórek w drodze na teren karczunku, informuję się o warunkach pracy i placu. Są one podobne do innych obozów tego typu w dolinie Rodanu. Za 10 godzin 3 fr. w pracy na dniówkę. Dniówka kombinowana jest czasem z akordem i wtedy zarobić można więcej. Żołnierze pracują w partiach, borykając się z gęsto zarosłą ścianą drzew i krzewów. Ustępuje ona pod ciosami siekier i dotknięciem krzepkich rąk, odcinających zwalone drzewa, wyrwywających z gleby resztki pni z korzeniami, odrzucających precz napotkane kamienie. Drzewa użyteczne odkładają się i odwozi, nieużytki pali na miejscu. Ludzie pracują chętnie, sami bez nadzoru i bez „Wachy“, która rezyduje tylko w obozie.

Pogawędka. Słuchają pilnie wszystkiego.

— Wytrzymacie?

— Wiadomo, że wytrzymamy.

TEL-AVIV POD ZNAKIEM POEZJI POLSKIEJ

W nr. 172, londyńskich „Wiadomości Polskich“ ukazał się p. t. „Tel-Aviv pod znakiem poezji polskiej“, następujący artykuł Obserwatora, który podajemy tu w skróceniu.

Tel-Aviv, w maju 1943.

„Przyjazna inwazja poezji polskiej na Tel-Aviv“ nazwał ów dzień jeden z najwybitniejszych pisarzy tutejszych. I miał, zdaje się, rację. Bo też dzień ten stał pod znakiem poezji polskiej i jej wybitnych przedstawicieli na ziemi palestyńskiej. Tego dnia ukazała się w największym dzienniku hebrajskim — „Dawar“ — obszerna rozmowa z Władysławem Broniewskim, zatytułowana „Poezia żołnierza“. Autor wywiadu kreśli na wstępie sylwetkę poety, zatrzymując się głównie nad potężnym wrażeniem, jakie na kilka miesięcy przed wojną zrobił wiersz Broniewskiego „Bagnet na broń“. Po zacytowaniu pierwszych strof wiersza w doskonałym przekładzie Landera, pisze autor wywiadu: „Niespodzianką polegała na tym, że właśnie poeta, którego dominująca nuta w twórczości była dotąd niemal wyłącznie społeczna, zdolał tak szczęśliwie dać mocny i szlachetny wyraz uczuciom patriotycznym, co z niebywałą siłą rozpalili się wśród społeczeństwa polskiego“.

Broniewski wypowiada w wywiadzie swe credo polityczne i literackie. Na zapytanie dziennikarza, czy czasem wzięcie w ustrój socjalistycznym nie zamienia się w szkołę, w której człowiek oducza się „socjalizmu“, odpowiada Broniewski: „Żadne wzięcie nie może wpłynąć na wyrzeczenie się ideałów. Wydaje mi się, że ja nie zmieniałem się zupełnie, jeśli chodzi o moje poglądy. Skoro zaś mimo to znalazłem się tam pod kluczem, to zapewne tam się coś zmieniło. W Polsce wyzwolonej — mówi dalej poeta — walczyć będę nadal o realizację postulatów społecznych, nie wyrzekając się absolutnie niczego. Warunkiem jednak wstępnym dla zmian w przyszłej Polsce jest walka o jej oswobodzenie, o jej niepodległość. Gotów jestem w każdej chwili poświęcić za to moje życie. Pragnę walczyć w pełnym tego słowa znaczeniu. Uważam się też w gruncie rzeczy za żołnierza i dążeniem moim jest — biec się. Chwilowo, skoro armia polska nie znajduje się w akcji, zajmuję się pracą literacką. Piszę wiersze, udaję mi się pisać dużo, czego nigdy nie było w Polsce. Wszystko, z czym mam do czynienia w życiu, przełamuję na poezję — to moja metoda jako poety. Myślę, przewodnią, która opanowała mnie całkowicie, jest związek z ziemią polską i walka z wrogiem. Niekiedy fragment krajobrazu palestyńskiego budzi we mnie nagłą asocjacje myślową z — Warszawą“.

Określiwszy swój stosunek do budującej się Palestyny, odrodzenia języka hebrajskiego i swój pogląd na stosunki polsko-żydowskie w przyszłości, Broniewski na prośbę dziennikarza scharakteryzował ostatnią fazę rozwoju literatury i poezji polskiej. Na tle olbrzymich strat, poniesionych przez kulturę polską, jest rzeczą szczególnie pomyślną, iż kilkudziesięciu pisarzy polskich może utrzymać i wzbogacić polski dorobek kulturalny. Poezja jest w pierwszym szeregu walki o Polskę. Pojawiają się coraz to nowe talenty. Poeci starsi dają rzeczy tak wspaniałe, jak ostatnie utwory Tuwima, Słonimskiego, Balińskiego i in. Słowem, „poezja jest centralnym ładunkiem energii Polski walczącej“.

Wywiad z Broniewskim stworzył doskonałe tło dla serdecznej atmosfery, jaką wytworzyła się tego samego dnia popołudniu na przyjęciu, wydanym przez zarząd P.E.N.-Clubu hebrajskiego w Palestynie dla goszczących w Tel-Avivie Broniewskiego i Mariana Czuchnowskiego. Dawno nie widział Tel-Aviv tak kulturalnej i miłej biesiady literackiej, jak w czasie owego przyjęcia, które odbyło się w jednej z największych kawiarni nadmorskich. Zjawiała się naprawdę elita intelektualna Tel-Avivu. Przybyli w komplecie wszyscy najwybitniejsi pisarze hebrajscy.

Na przyjęciu przemówili obaj poeci polscy, dziękując zarządowi PEN-Clubu i pisarzom hebrajskim za piękne, wzruszające przyjęcie. Broniewski mówił o „nocach“ w życiu narodów, kiedy to narody, pozbawione niepodległego bytu, chronią się na łono poezji. Czuchnowski wzruszył do łez pełnym poetyckim nastrojem przemówieniem, w którym podkreślił, że w czasie wojny, gdy słychać jęki mordowanych i katowanych, zamknąć musiał śpiew słowika. Po zwycięstwie jednak pieśń słowicza znów się odezwie, prosi więc poeta wszystkich zebranych pisarzy do swojej chaty we wsi podkarpackiej, gdzie razem wsłuchiwać się będą w słowicze dźwięki, przejęci wiara w lepszą przyszłość i w pełne wyzwolenie obu narodów.

Zebrań, w którym wzięło udział ok. 80 najwybitniejszych przedstawicieli literatury hebrajskiej, świata intelektualnego oraz przedstawicieli prasy — zrobiło na wszystkich uczestnikach głębokie i niezatarte wrażenie. Była to gorąca manifestacja hebrajskiego świata duchowego na rzecz Polski walczącej o wolność i wyzwolenie.

Wieczorem tego dnia zebrała się znów elita kulturalna uchodźstwa polskiego oraz miejscowego społeczeństwa w sali Domu Arlosoroffa, gdzie od szeregu dni mieściła się wystawa Armii Polskiej na Wschodzie. Broniewski — po jednym zagajeniu Czuchnowskiego — czytał swe wiersze. „Eksponaty“ wystawy, przedstawiające wysiłek wojenny żołnierza polskiego, stworzyły idealne tło dla recytacji wierszy, w których nuta żołnierska jest motywem przewodnim. Każdy utwór Broniewskiego, znakomicie czytany przez poetę, był gorąco oklaskiwany przez rozentuzjowaną publiczność. Głębokie wrażenie wywarły też dawniejsze wiersze Broniewskiego, jak „Ulica Miła“, „Księżyc ulicy Pawiej“, „Bakunin“, „Śmierć Waryńskiego“ i t. d. Kilka wierszy z talentem odczytał p. Wojtecki, a przykłady hebrajskie pióra Landera i Tennenbauma recytował z dużą kulturą p. Ehrenkranz.

Poezie wręczono kwiaty, gratulowano wielkiego sukcesu. Obcy ludzie podchodzili doń, ściskając mu rękę, niemal ze łzami w oczach. Tu i ówdzie wyrażano żal, że wieczór odbył się w sali zbyt małej (350 miejsc), pojawiły się zaproszenia na występ autorski w jednej z największych sal Tel-Avivu, a także zaproszenia do osiedli wiejskich. Słowem, wieczór autorski Broniewskiego i cała — jak się rzekło — „inwazja poezji polskiej na Tel-Aviv“ pozostanie na długo w pamięci tu-tejszego społeczeństwa.



MASZYNY BIUROWE

Reparacje — wszelkie artykuły biurowe —
Pieczątki — Polskie czcionki do maszyn do pisania

Artykuły „Utility“ na składzie.

WYPOSAŻENIE BIUROWE BRAUN & SON

Tel-Aviv, ul. Herzla 13 Tel. 2623

WIECZNE PIORA

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze“ ukazały się dotychczas następujące książki:

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI: „Bagnet na broń“.

BEATA OBERTYŃSKA: „Faustyna“.

HENRYK SIENKIEWICZ: „Ogniem i mieczem“ — t. I—IV.

HENRYK SIENKIEWICZ: „Potop“ — I—IV (dalsze tomy w druku).

STEFAN ŻEROMSKI: „Szyfrowe prace“.

¹⁾ Por. nr. 9 „Tam gdzie woda zamienia się w wino. Polscy żołnierze internowani w Szwajcarii“.

²⁾ „Die Aufgaben unserer Landwirtschaft in der Landesversorgung der Kriegszeit“ — Vortrag gehalten in der Gesellschaft schweizerischer Landwirte in Zürich am 15. November 1940. Schweizerische Landwirtschaftliche Monatshefte, Sonderdruck aus Heft 12, 1940.

Z PRASY OBCEJ OPINIE ANGIELSKIE

Strategia i taktyka dzisiaj

Pod takim tytułem londyński miesięcznik „The Contemporary Review” zamieszcza w czerwcowym zeszycie artykuł pióra Hamiltona Fyfe'a. Czytamy w nim:

„Większość ludzi pytanie na temat strategii i różnicy między strategią i taktyką wprawdzie w zaskakującym. Nieliczni mogliby odpowiedzieć, że strategia i taktyka to w znacznej mierze to samo, z tym zastrzeżeniem, że dowódca armii ma do czynienia z pierwszym, a jego sztab z drugim. Jeszcze bardziej nieliczni będą starali się podsunąć myśl, że strateg zajmuje się wojną w jej najszerszym aspekcie, celami i środkami, prowadzącymi do osiągnięcia tych celów, podczas gdy taktyk stosuje się do środków i czyni odpowiednie posunięcia w takiej czy innej poszczególnej bitwie. Ostatni pogląd jest, jak mi się widzi, słuszny obecnie, pierwszy był słuszny kiedyś.

Albowiem strategia wysuwa się z rąk dowódców armii. Charakter wojny dwudziestego wieku ograniczył ich do pewnych „teatrów”. Ich sprawy to ataki i obrona, posuwanie się i cofanie na pewnym odcinku frontu, obejmującego cały świat. Kierowanie tym frontem jako całością musi być zadaniem kogoś, kto wypracowuje im zgrubsze plany, daje im instrukcje, zabezpiecza im dostawy. Ta najwyższa władza może być w ręku żołnierza. W obecnej jednak wojnie tylko jeden żołnierz ją sprawuje: marszałek Cziang-Kai-Szek. W Wielkiej Brytanii złożono ją w ręce p. Churchilla, w Rosji — Józefa Stalina (który osobiście kierował obroną Stalingradu), w Stanach Zjednoczonych — prezydenta Roosevelta. W Niemczech pochwycił ją Hitler, a we Włoszech — w tych granicach w jakich może być mowa o dowodzeniu pozamiemieckim — sprawował ją Mussolini. Wszyscy z tych pięciu najwyższych strategów są cywilami.

W wieku XIX — tłumaczy dalej autor — historia zna tylko jednego wybitnego stratega-cywilę, Bismarcka, który potrafił narzucić wojskowemu swoje koncepcje prowadzenia wojny.

Bismarck był jednak w XIX w. wyjątkiem; na ogół panowało wtedy przekonanie, że wojna jest sprawą wojskowych i że politycy cywilni nie powinni wtrącać się do jej prowadzenia. Tak np. w czasie wojny burskiej gabinet brytyjski zostawił zupełnie wolną rękę gen. Bullerowi i dopiero kiedy ten wskutek niefortunnnych operacji wojennych znalazł się w impasie i zażądał pełnomocnictw do prowadzenia rokowań pokojowych, został zdymisjonowany i zastąpiony przez Roberta. Jeszcze z początkiem wojny 1914—1918 r. Asquith był zdania, że sprawy prowadzenia wojny do niego nie należą. Takich samych poglądów byli rosyjscy premier Goremjkin. Tego rodzaju poglądy były możliwe tak długo, jak długo wojna nie miała charakteru „totalnego”, nie wymagała zupełnego przekształcenia na czas trwania operacji wojennych życia gospodarczego kraju i utrzymywania w stałym napięciu wojennym nie tylko frontu, ale i zaplecza. Churchill jako strateg mógł robić błędy — takim błędem było zdecydowanie się na beznaście obronę Krety, zamiast żeby pozwolić Wawellowi na kontynuowanie jego kampanii w Cyrenajce, ale jest nie do zastąpienia jako człowiek, który umie koordynować wysiłki wojenne i gospodarcze oraz jako człowiek, który umie wspólnie oddziaływać na nastroje opinii publicznej.

„Kiedy wojna żąda dla osiągnięcia zwycięstwa zmobilizowania pełnej energii i siły woli narodu, najwyższym strategiem musi być mąż stanu, a nie żołnierz”. Bez dzielnego zaplecza armii brak bojowego ducha. Bez broni, która pozwoliłaby jej mierzyć się z nieprzyjacielem, armii brak siły. Oba te warunki muszą być zabezpieczone, zanim się przystąpi do planowania kampanii, która miała jakiegokolwiek możliwości zwycięstwa. To muszą być główne zadania stratega. Ponieważ rząd francuski zaniedbał ich, wojska jego były bezsilne i ich duch bojowy był napół złamany. Był to błąd strategiczny.

„Strategia nie jest już tym, czym nazwał ją kiedyś kpt. Lidell Hart — „sztuką dysponowania środkami wojennymi dla osiągnięcia celów politycznych”. Podpułkownik Clive Garsia podszedł bliżej do obecnych warunków, kiedy pisał w swoim „Kluczu do zwycięstwa”, że strateg „musi brać pod uwagę całokształt zasobów istniejących i możliwych dla wypracowania planu, którego celem jest ostateczne zwycięstwo”. Możliwe jest osiągnięcie zwycięstwa środkami nie wojennymi, sposobami, które nie pociągają za sobą starć armii. Takie zwycięstwo osiągnęli Niemcy w Rumunii i w Bułgarii. Układ Sprzymierzonych z Darlanem pozwolił im zdobyć francuską Afrykę Północną niemal, bez bez walki. Były to strategiczne zwycięstwa. Żadne z nich nie zostało osiągnięte środkami wojennymi.

Cele wojny w oświeceniu rosyjskim

Tygodnik „The Manchester Guardian Weekly” rzynosi w numerze z dnia 9 lipca streszczenie artykułu na temat celów wojny, który ukazał się w nowym moskiewskim dwutygodniku „Wojna i Rabocziy Klass” (wydawany po zawieszeniu „Komunistycznego Internacjonalu”) w numerze z dn. 1 lipca. Artykuł został przedrukowany przez „Prawdę” z dn. 4 lipca. Fragmenty streszczenia przedrukowujemy niżej bez żadnych komentarzy, które zresztą dla polskiego czytelnika są zbędne.

Udział ZSRR w powojennym świecie: „Artykuł, który został przedrukowany w dzisiejszej „Prawdzie”, po starannym przeglądzie sytuacji, silnie podkreśla pogląd, iż ani jeden z powojennych problemów nie może być rozwiązany bez bezpośredniego i czynnego udziału Związku Sowieckiego”. Rosja — twierdzi on — ze względu na wielki ciężar jej wysiłku wojennego, jest szczególnie zainteresowana w stałym pokoju, i ze względu na rozległość swoich terytoriów, zasoby i siłę, jakiej złożyła dowody na polach bitew, potrafi mieć jeden z najbardziej decydujących głosów.

Stosunek do Niemiec: „Analizując niektóre z licznych dyskutowanych problemów — a „Wojna i Rabocziy Klass” chce tu także dać wyraz swoim poglądom — autor przyznaje pierwsze miejsce konieczności zorganizowanego bezpieczeństwa i ukarania winnych. Wsuwa to takie pytania jak: „Czy tylko partia hitlerowska jest winna, czy też także armia, oraz naród?” Twierdzi on, że nie można stawiać znaku równości między winą narodu niemieckiego a rządzącą kliką, ale przytacza bez komentarza, że istnieją zagranica grupy, wierzące w możliwość fazy reedukacyjnej w Niemczech, podczas gdy inni wierzą, że Niemcy po

odejściu Hitlera zaczną się automatycznie prowadzić dobrze.

Przyjmując się, iż ta ostatnia opinia powstaje w znacznej mierze pod wpływem niemieckich emigrantów, od byłych hitlerowców jak Strasser poczynając, aż po socjal-demokratów.

Autor stwierdza, że istnieje zgoda, że Niemcy muszą być kompletnie rozbrojone, ale ostro dyskutowane są kwestie, czy Niemcy należy rozczłonkować dla osłabienia wpływów pruskich, czy należy narodowi niemieckiemu narzucić nową formę rządów, czy też pozwolić mu ją wybrać; czy nowe Niemcy mają mieć granice etniczne (łącznie z Sudetami, Prusami Wschodnimi i Austrią), czy też należy pójść na rękę żądaniom Czechosłowaków i Polaków.

Włochy: „Problemy włoskie uważane są za nie tak trudne. Co się tyczy dynastii, to autor uważa, że przyszłość jej jest jeszcze kwestią do dyskusji”.

London International Assembly

W kwietniowym zeszycie londyńskiego „The Contemporary Review” lord Cecil pisze o London International Assembly, organizacji powołanej do życia przez Ligę Unii Narodów (League of Nations Union). Lord Cecil jest założycielem i prezesem Assembly.

London International Assembly zostało założone latem 1941 r. Celem tej organizacji jest służba dziełu zbliżenia między narodem brytyjskim a wszystkimi innymi narodami sprzymierzonymi drogą głębszego zrozumienia historii, rozwoju gospodarczego, instytucji, sposobu życia i aspiracji narodów sprzymierzonych oraz rozważania zasad polityki powojennej. Organizacja ta nie wiąże się z jakąś określoną polityką, jest nieoficjalna i niezależna od kontroli rządowej. Zebrania mają charakter prywatny; przemówienia nie mają być cytowane poza gronem uczestników, a wszelkie publikowania sprawozdań winno uzyskać wstępnie autoryzację komitetu.

Członków dobierano w ten sposób, że starano się pozyskać osoby, reprezentujące wszelkie możliwe odcienie opinii publicznej. Maksymalną ilość przedstawicieli poszczególnego narodu określono pierwotnie na „dziesięciu”, później na piętnastu, z tym jednak, że tylko pięciu ma prawo głosu. Głosują oni jako jednostki, nie jako grupa. Z końcem pierwszej sesji liczba członków wynosiła 189 z pośród obywateli 17 państw sprzymierzonych. ZSRR reprezentowany jest tylko przez obserwatorów, ponieważ nie można było znaleźć obywateli sowieckich, którzyby mogli wziąć pełny udział w pracy.

Prezesem organizacji jest lord Cecil, wiceprezami: Francuz prof. René Cassin, min., Jan Masaryk, grecki poseł w Londynie Ch. Simopoulos i szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta R. P. August Zaleski. Po śmierci Simopouloua wszedł na jego miejsce p. Agnieszka.

W ciągu ub. r. przeprowadzono dyskusję na następujące tematy: cele wojny i pokoju; obecna sytuacja krajów okupowanych; punkt trzeci Karty Atlantycznej; rola mniejszych państw w świecie powojennym; dzieło Międzynarodowej Organizacji pracy; sądownictwo przestępstw wojennych; bezrobocie; sytuacja w Ameryce i wychowanie. Lord Cecil podaje w artykule długi szereg wybitnych prelegentów. Z pośród Polaków wymieniamy min. Stroskiego i Zaleskiego.

Pierwotnie postanowiono nie uchylać rezolucji, później jednak odstąpiono od tego postanowienia i m. in. uchwalono rezolucję w sprawie dostaw żywności dla Grecji i w sprawie sądownictwa przestępstw wojennych. Utworzono też kilka komisji dla badań specjalnych i przygotowania sprawozdań i wniosków.

Assembly utrzymuje także sporadyczne kontakty z osobistościami z krajów neutralnych, bawiącymi w Londynie. Ułatwia też udział swych członków w charakterze prelegentów na terenie różnych organizacji.

PUBLICYSTYKA MACKIEWICZA

Stanisław Mackiewicz (Cat). Powrót Kota, Londyn, Autor, kwiecień 1943. Str. 28.

Ostatnia broszura Mackiewicza, jest świetnym rysem, uzupełniającym mimowolny autoportret publicysty.

Któż bowiem z poważnych pisarzy ośmieliłby się wydać tak niedbałą i pysznie arogancką broszurę? Czytelnik ma prawo w pierwszej chwili oburzyć się do głębi na tak widoczne lekceważenie. Obok szkiców o prof. Kocie, naszych angielskich sprzymierzeńcach i „kluczu partyjnym” — sucha dziennikarska notatka o odczycie Bieleckiego. A zaraz obok... recenzja z paru zbiorów wierszy i książki Kuncewiczowej. I trzeba powiedzieć, że jedno i drugie, choć z tak odległych od siebie zaczerpnięte dziedziny zawiera świetne obserwacje i dużo dowcipnych i trafnych określeń. Nie trudno wykryć sekret tej wszechstronności. „Powrót Kota” nie jest broszurą w ścisłym tego słowa znaczeniu. Jest to raczej numer tygodnika, napisany o a do z przez redaktora. Tak wyżywa się niezaspokojona pasja dziennikarska publicysty. Piszze broszurę, które są gazetami, daje książki, w których każdy rozdział jest osobnym artykułem.

Mackiewicz celuje w skrótach myślowych, błyskotliwych i paraliżujących system naszej reakcji intelektualnej. Zmierzając do wyjaśnienia i rozwinięcia zagadnienia, ale do jego zdemaskowania w zarodku. Dlatego gdy krytykuje, można by powiedzieć, że raczej zadaje ciosy, gdy chwali — jest to podobna zdawkowość tylko a rebours: zdolny dyplomata, ozdoba MSZ, świetna inteligencja, doskonały pisarz. Skądże więc taka poczynałość i tak ogromny autorytet i zwolenników, a żywa uwaga u przeciwników? Rzecz w tym, że nie kłopotą się o uzasadnienie czy dowód, jak strzelec, który bijąc celnie obojętnie na myśl do kogo i dlaczego strzela. *Dezynwoltura* jest osiągnięciem i manierą pisania Mackiewicza.

W związku z tym pozostaje upodobanie autora „Księżki moich rozczarowań” do błyskotliwych tytułów („O jedenastej” — powiada autor — sztuka jest skończona”). W omawianej książeczce apeluje do humanistycznej wyrozumiałości prof. Kota, wyjaśniając, że w nazwie opuścił celowo jego naukowy i urzędowy tytuł, aby aluzja do „Powrotu Postla” Niemcewicza była pełniejsza i bardziej bezpośrednia. Jest to obsesja właściwa wszystkim publicystom, którzy analizy szczegó-

Konferencja żywnościowa w Hot Springs miała nie tylko poważne znaczenie społeczno-gospodarcze, ale także i propagandowe. Sprawy i fakty, znane od dość dawna fachowcom, dotarły dzięki niej niemal w ciągu nocy do świadomości ogółu. Trzeba, aby i Polacy o nich wiedzieli. Jest to tym bardziej konieczne, że wyniki konferencji w Hot Springs mogą się stać podstawą dla decyzji, które dotyczyć będą także i Polski.

Fakty naukowe, leżące u podstawy współczesnej wiedzy żywnościowej są następujące. Człowiek potrzebuje pożywienia, aby wytworzyć ciało. Początkowo sądzono, że dla zaspokojenia tych potrzeb wystarczają trzy podstawowe związki: węglowodany, proteiny i tłuszcze. Tak jednak nie jest, choć powyższe związki stanowią ponad 95% naszego ciała. Także i inne składniki, — niektóre z nich w mikroskopijnych ilościach, — są potrzebne do życia. A więc składniki mineralne: wapień, żelazo i witaminy. Brak tych związków w pożywieniu ludzkim powoduje rozmaite schorzenia, ułomności i zwłaszcza u dzieci może zaowocować w przyszłym rozwoju.

Gdy badania chemii biologicznej będące u podstawy tej nauki, poczęły nabierać konkretnych kształtów, zainteresowała się nimi socjologia. Zrazu naiwnie, po Verne'owsku, mówiono o diecie przyszłości, o stosowaniu niekompletnych doświadczeń w jakichś utopijnych, bliżej nie określonych sposobach. W miarę narastania wiedzy poczęto wysuwać bardziej uchwytne projekty. Obliczono więc przede wszystkim minimum ludzkich potrzeb. Potem inni, bardziej szczerobliwi, obliczyli optimum: tyle a tyle kalorii, protein, żelaza, wapnia, witamin i t. d. potrzeba człowiekowi dla najzdrowszego i pełnego życia. Już nie „aby żyć”, ale dla najzdrowszego życia. Bardzo pięknie i wzruszająco. Tylko że... nikt nie zatroszczył się, aby to minimum — nie mówiąc wcale o optimum — komukolwiek zapewnić.

I trzeba było dopiero twardej konieczności wojennej aby ludzie zdobyli się na praktyczne zastosowanie tych wskazań naukowych. Na naszych oczach dokonał się w Anglii niemal niespostrzeżenie olbrzymi przewrót. Jedną z tych reform angielskich „efektywnych”, choć nie efektywnych: zaplanowano naukową politykę żywnościową Wyp Brytyjskich w czasie wojny. Jeśli ludzie nie stać na odpowiednie pożywienie, albo jeśli nie umieją czy nie chcą zeń korzystać i jeśli — z drugiej strony — już nie tylko ze względów społecznych czy humanitarnych, ale poprostu z konieczności wojennej należy naród utrzymać na tej wyżynie zdrowia i tężyny, która jest konieczna dla prowadzenia i wygrania wojny, — należy dać ludziom to wszystko, czego im potrzeba. Akcja, jaką „Ministry of Food” rozwinęła, szła po linii poważnej i głębokiej myśli naukowej. Trudno ją streścić w kilku zdaniach, ograniczamy się zatem do paru przykładów. W roku 1941 Anglia była dosłownie „zalana marchwią”. Aby nakłonić ludność do jedzenia tej marchwi, rozwinęto dużą akcję reklamową. Wielu sądziło, że ta propaganda jest wynikiem nadmiaru. Mylili się. Marchew jest najtańszym i najtrwalszym źródłem witamin A-carotenu. Witamina A leczy ślepotę nocną. W czasach zaciemnienia, w czasach, gdy nie tylko lotnicy czy żołnierze, ale także ludność cywilna musi ćwiczyć i szanować wzrok, nie-dobór witamin A byłby katastrofą narodową. Innym przykładem jest sprawa chleba. Nie tylko przyzwyczajono Anglików do chleba z 85-procentowej maki, zawierającej wszystkie witaminy, ale do maki też dodaje się w odpowiednich proporcjach węgiel wapnia. Obalono cały szereg przesądów i w ten sposób wpojono Anglikom wiele rzeczy i zwyczajów, które pozostały ich trwałą własnością. Jest to poważne osiągnięcie wychowawcze. I po raz pierwszy w historii świata z dobrodziejstw wiedzy skorzystali nie tylko wybrańcy, ale cały naród. Mimo ciężkich warunków

wojennych statystyka stwierdziła niebywały wzrost przeciętnej zdrowotności

Dobry przykład działa cuda. Ekspertów od spraw żywnościowych ruszyło sumienie, gdy zobaczyli sukces brytyjskiej polityki żywnościowej. Jeśli można było na Wyspach Brytyjskich zaplanować „minimum” dla wszystkich w czasie wojny, jest to dowodem, że w warunkach pokojowych inteligentne, a nade wszystko nieegoistyczne planowanie potrafi, — jeśli zechce, — uporać się z tym problemem także w skali światowej.

Konferencja żywnościowa w Hot Springs zebrała się przy współudziale przedstawicieli 40 narodów, aby radzić nad tą sprawą.

Program przyszłej polityki żywnościowej świata można podzielić na trzy okresy: 1. okres bezpośredni po wojnie, gdy problem doraźnej pomocy będzie znacznie ważniejszy niż problem umiarkowania stosunków. 2. na okres przejściowy. 3. na okres normalnego i postępowego rozwoju. Kwestia pomocy powojennej dla krajów okupowanych nie leżała w ramach kompetencji zjazdu, ale problemu tego nie można pominąć, jeśli się planuje produkcję, gdyż pierwsze lata powojenne będą wymagały zupełnie innej gospodarki rolnej niż późniejsze — da Bóg — unormowane czasy.

Prace konferencji rozdzielono na cztery sekcje. Sekcja pierwsza obradowała na temat standardów spożycia i zapotrzebowania. Miała ona za zadanie ustalenie owego „minimum” względnie „optimum” ludzkich potrzeb, o których mówiliśmy powyżej. Ludność świata była (nawet przed wojną) nie tylko niedożywiona, ale także ta — mniej liczna — jej warstwa, którą stać było na odpowiednie pożywienie, odżywała się niewłaściwie, głównie na skutek ignorancji i przesądów. Dlatego jednym z zadań sekcji była także propaganda uświadamiająca. Przykład takiej światłej propagandy mieli uczestnicy zjazdu przed oczyma w brytyjskiej polityce żywnościowej czasów wojny. Aby wspomnieć raz jeszcze ustawowy przymus dodawania sztucznych witamin czy innych składników, koniecznych dla zdrowia ludności, do maki, margaryny, soli i t. d., dodatkowe odżywianie specjalnych grup ludności, jak dzieci, matek karmiących, robotników zatrudnionych przy niektórych specjalnych robotach i t. d., którzy dodatkowo otrzymują mleko, pomarańcze, rozmaite ekstrakty witaminowe, obiady po szkołach i kantynach.

Sir John Boyd Orr, uczony angielski, którego prace leżą u podstawy współczesnej wyśli społecznej w sprawach żywnościowych, obliczył, że aby wyżywić dostatecznie ludność, należy powiększyć produkcję środków żywnościowych ze 150 do 200%. Nie jest to problemem prostym w świecie, który dotychczas niszczył swe rezerwy nadmiary. Tym problemem, — problemem produkcji rolnej zajmowała się sekcja druga.

Sekcja trzecia obradowała nad ulepszeniem sposobów rozdziału. Niektóre środki żywnościowe, zwłaszcza te, które zawierają witaminy i proteiny, przeważnie nie nadają się do dalekiego transportu i powinny być wytwarzane blisko miejsca spożycia. Cała pozostała produkcja powinna być rozłożona według zasad opłacalności transportu i za-trudnienia ludności.

Sekcja czwarta zajmowała się sprawami organizacyjnymi: jak wprowadzić w życie wskazania konferencji? Praca tej sekcji zaczyna się właściwie dopiero teraz.

Teraźniejszość Europy i teraźniejszość świata są przyćmione chmurami gwałtu, nędzy i rozpacz. Ale choć jutro — po raz pierwszy od lat — świta nam na horyzoncie błękitnym bomb, leczących na Niemcy i lśniące stalą czołgów, które ruszyły do inwazji, zdajemy sobie jednak sprawę, że to jutro nie będzie łatwe. Nie wystarczy światło i mądre wskazania uczonych z konferencji w Hot Springs, ale trzeba także poświęcającej się, wyjęzionej, uczciwej, inteligentnej a nade wszystko w spólniej pracy wszystkich ludzi i wszystkich narodów, aby to jutro uczynić godnym ludzkiego rozumu i Bożej woli.

Pisałem ostatnim razem o Priestley'u. Poczawszy od 21 czerwca 1943 r. można słyszeć Priestley'a na falach B. B. C. co poniedziałek wieczór po „News'ach” około 9.20 czasu londyńskiego. Jego pierwsza pogadanka była pełna dość radykalnych akcentów społecznych.

Naprzód mówił o przeszłości: „Minał okres, gdy staliśmy sami, półnacy i zbrojni tylko w nierozsądną wiarę w samych siebie. Minał okres bałaganu, sobkostwa i głupoty...” „... czas, gdy ludzie na jednej ulicy cierpieli, bo mieli za mało do jedzenia, a ludzie na sąsiedniej ulicy chorowali z nadmiaru jedzenia; czasy, gdy odwieczną, kłaniano się i ścisłano dłońi możnym złodziejom i mordercom...”

Potem mówił o teraźniejszości: „Pokazaliśmy im! Oto ci hitlerowcy i faszysty, którzy nie dawno jak 4 czy 5 lat temu tak głośno z nas drwili i urągali nam tylko dlatego, że byliśmy wygodni i nie kochaliśmy się w butach z cholewami i w mundurach, stawiając nas dzisiaj jako przykład swemu własnemu narodowi...”

W końcu o przyszłości: „Do pralni, do wrzątku, w którym wygotowuje się brudy, wrzucimy zorganizowaną grabież, kazi i morderstwa; tajną policję i obozy koncentracyjne; chełpliwe ubóstwanie siły, brutalności, oszustwa i rabunku; niewolnictwo przemysłowe; wszystkich Führerów i Duce, ubóstwianych wodzów w groteskowych mundurach, opryszków w matinkach, perfumowanych jotrów w błatych krawatach, całą tę łąką, oszukańczą bandę; a za nimi pójdą ci, którzy, przemysłnie i bez skrupułów wyszukują prostych, uczciwych ludzi, mających już tego wszystkiego dość...”

Dla radia nie ma przestrzeni oddzielającej dzisiaj słowo pisane od czytelnika. Więcej zatem niż z powyższych fragmentów dowiemy się czytelnik o Priestley'u od niego samego co poniedziałek wieczór. (A warto go posłuchać nie tylko dlatego, że pięknie i ciekawie mówi, ale dlatego także, że uosabia brytyjski sposób myślenia. Konserwatyści czy labourzyści mogą się różnić w praktycznych szczegółach, ale kierunek angielskiej myśli politycznej jest jeden. „Drogowskaz, który odczytaliśmy w świetle wybuchających bomb brzmi: Do prawdziwej demokracji — Droga Ludu”.

Do tematu tego powrócimy jeszcze w sprawozdaniach ze zjazdu partii konserwatywnej i partii pracy.

Dominik Szerbić

Gustaw Herling-Grudziński

KRONIKA POLSKA

STRAJKI WĘGLOWE w U.S.A.

Przegląd polityczny

— Nakładem Książnicy Polskiej w Glasgow ukazała się wydawnictwem Pen-Clubu Polskiego z zaskiku Funduszu Kultury Narodowej książka zbiorowa „Wielka Brytania. Kraj — Ustrój — Kultura”. Na książkę składają się studia i artykuły Stanisława Balińskiego, Marii Chmielowskiej, Henryka Gotliba, Wandy Grabińskiej, Zbigniewa Grabowskiego, Zofii Holub-Pacewiczowej, Helen Judd, Jerzego Kuncewicz, Marii Kuncewiczowej, J. Leo McGovern, Williama Patona, Williama Powera, Czesława Poznańskiego, Michała Prozora, Henryka Tenenbauma i Tymona Terleckiego.

— Kolon w Londynie wydał dwa nowe tomy wierszy: Stanisława Balińskiego „Tamten bez nocy” i Marii Pawlikowskiej „Niezapominajki bagienne”.

— Nakładem londyńskiego Komitetu Obchodu Czterechsetlecia Kopernika („The Copernicus Quatercentenary Celebration Committee”) ukazała się w przekładzie B.W.A. Massey'a książka dra Józefa Rudnickiego „Nicholas Copernicus (Mikołaj Kopernik), 1473—1543”. Książkę poprzedził przedmowa znakomity angielski Sir Arthur Eddington.

— Ukazał się nakładem Oxford University Press trzeci zeszyt nieperiodycznego wydawnictwa „Polish Science and Learning”, poświęcony Kopernikowi. Przynosi on następujące artykuły: prof. Stanisław Kot — „The Cultural Background of Copernicus”, Sir H. Spencer Jones — „Copernicus and the „De Revolutionibus””, prof. H. Dingle — „Copernicus's Work, a Landmark in Scientific History”, B. Szczepiński — „Notes on the Development of Astronomy in the Far East”, H. Kucharczyk — „The First Disciples of Copernicus in England”.

— Standard Art Book Company w Londynie wydała w przekładzie Petera Jordana książkę Romana Sołtyńskiego „Glimpses of Polish Architecture”. Książkę poprzedził przedmowa W. G. Holford, profesor uniwersytetu w Liverpool.

— Szwedzko-Polskie Towarzystwo Naukowe Uniwersytetu Stockholmskiego („Svensk-Polska Studieförbundet vid Stockholms Högskola”) wydało czwarty zeszyt swoich Prac. Przynosi on następujące studia: Birger Callemann — „Au sujet de développement phonétique du polonais”, Józef Trypucko — „Svenskarna i Polen under Sigismund III tid”, Zygmunt Łakociński — „Polonia in Sweden” oraz recenzje i notatki, w tym Z. Folejewskiego przegląd polonistów szwedzkich za lata 1940—1941. Pierwszy zeszyt Prac ukazał się jeszcze przed wojną w r. 1939, dwa następne — z studiami w językach szwedzkim albo polskim — wyszły w latach 1940 i 1941.

— Ukazał się z datą styczniową drugi zeszyt Kwartalnego Biuletynu („Quarterly Bulletin”), wydawnego przez Polski Instytut Naukowy w Ameryce (Polish Institute of Arts and Sciences in America). Przynosi on streszczenia przemówień i prac, przedstawionych na zebraniach sekcji Instytutu. Sekcji tych jest pięć: nauk historyczno-politycznych, literatury i sztuki, prawa oraz nauk społecznych i gospodarczych, nauk ścisłych i stosowanych, oraz zagadnień pedagogicznych. W pracach Instytutu obok uczonych polskich (zeszyt drugi przynosi streszczenia prac Haleckiego, Haimana, Świętosławskiego, Gutowskiej, Mitany, w zeszytach pierwszym były także streszczenia prac Kucharzewskiego, Lednickiego, Turyna, Gorczyńskiego i Mokrzyckiego) biorą udział także i uczeni amerykańscy oraz emigranci wojenni innych narodowości: wśród współpracowników zeszytu drugiego mamy m. in. wybitnego historyka i b. ministra spraw zagranicznych Norwega, H. Kotha, oraz znakomitego francuskiego znawcy teatru średniowiecznego, profesora Sorbony, Gustave'a Cohena.

— Jako odbitka z Kwartalnego Biuletynu Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce wyszło w Nowym Jorku w przekładzie Ludwika Krzyżanowskiego studium Jana Kucharzewskiego „The Polish Cause in the Frankfurt Parliament”.

— Komitet Organizacyjny Związku Ziem Południowo-Wschodnich i Związku Ziem Północno-Wschodnich w Londynie wydał broszurę zbiorową „W sześćsetlecie powrotu Grodów Czerwieskich do Polski”. Broszura przynosi przemówienia i referaty wygłoszone na uroczystym zebraniu dnia 14 marca b. r. przez ks. bpa Karola Radońskiego, Piotra Siekanowicza, Józefa Rudnickiego, Władysława Wielhorskiego, Józefa Godlewskiego, Zenona Kurzempy, M. E. Rojka i Adama Żółtowskiego.

— W Londynie ukazała się bez podania wydawcy broszura p. t. „O Polsce i wojnie myśli i aforyzmy Józefa Piłsudskiego”.

— W czerwcowym zeszycie wydawanego w Londynie francuskiego miesięcznika „La France Libre” znajdujemy piękne opowiadanie Ksawerego Pruszyńskiego „Notre Dame de Comblessac”, drukowane uprzednio w majowym zeszycie londyńskiej „Nowej Polski” p. t. „Matka Boska Mikulińska”.

— Tom z lata b. r. czołowego londyńskiego periodyku literackiego „New Writing and Daylight” przynosi w angielskim przekładzie wiersz Stanisława Balińskiego „The Last Melody”.

— Wacław Soliski wydał w Londynie książkę p. t. „Bardzo tajne sprawy”.

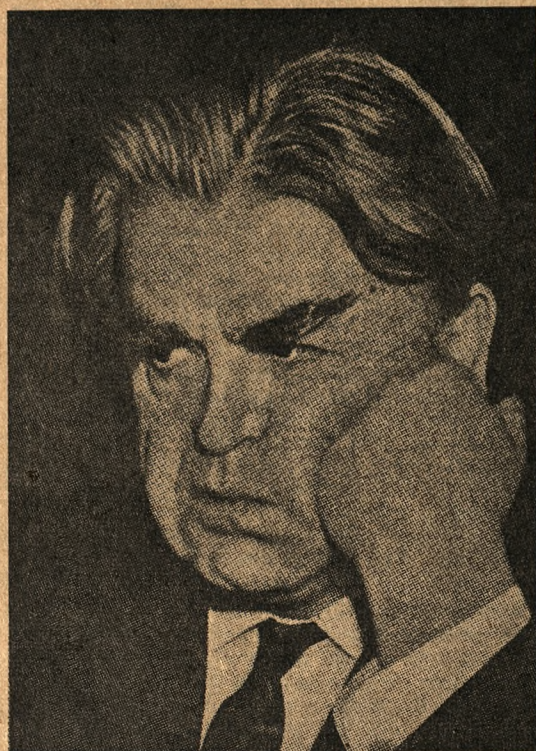
— Nakładem Kolina w Londynie ukazał się w nowym wydaniu w opracowaniu E. Wallenberga i M. Goryńskiego podręcznik „1000 słów po angielsku”.

— Urząd Oświaty i Spraw Szkolnych w Londynie wydał obszerny — zgórą 1200 stron — podręcznik dla inżynierów p. t. „Technik”.

WAŻNE DLA P. P. WOJSKOWYCH!
NA SEZON LETNI
poleca w wielkim wyborze
mundury drelchowe i wełniane, szorty,
koszulki gotowe i na zamówienie, biele-
linę trykotową, oraz wszelkie artykuły
i galanterię wojskową a także ręcznie
haftowane dystynkcje.

GUR-ARIEH
(Właśc. A. Gurman)
TEL - AVIV, ul. ALLENBY 83

Dwa strajki węglowe w Stanach Zjednoczonych zwróciły uwagę obserwatorów na stosunki wewnętrzne amerykańskie. Nie były to wydarzenia małej skali i nie można ich tłumaczyć warunkami lokalnymi. Konflikt objął całe górnictwo węglowe a sytuacja była dość trudna do zrozumienia, bo w sporze o płace górnicy odrzucali pośrednictwo urzędu pracy (War Labour Board) i chcieli rokować wprost z właścicielami kopalń. Rola czynników ekonomicznych była poważna, ale nie zasadnicza. Regulowanie kosztów utrzymania nie potrafiło w Stanach Zjednoczonych



John Lewis

powstrzymać wzrost cen żywności, kolejne zaś przysposowanie cen do wzrostu płac i płac do cen prowadziły do konieczności do niekontrolowanej inflacji. Obawa przed inflacją i stąd niechęć do podwyżek płac nie tłumaczy jednak wszystkiego i chociaż sytuację lepiej zrozumieć, należy rozpatrywać ją jako walkę osobistą przywódcy górników Lewis'a.

John L. Lewis jest z pewnością jedną z najmocniejszych postaci amerykańskiego ruchu robotniczego. Krótki zarys jego kariery jako przywódcy związku górników może dać o tym pewne wyobrażenie. Syn górnika walijskiego, sam pracował w kopalniach od dwunastego roku życia a w czterdziestym był przewodniczącym związku. W latach kryzysu Lewis odgrywał wielką rolę przy tworzeniu nowej organizacji związków zawodowych „Committee of Industrial Organisations” o partej na bardziej nowoczesnych zasadach niż tradycyjna „American Federation of Labour”. Lewis kieruje i wygrywa walkę z wielkimi koncernami stalowymi o uznanie zasady zbiorowej umowy o pracę — zresztą przy poparciu Roosevelta i zwolenników New Deal'u w administracji.

W latach wojny drogi Roosevelta i Lewis'a rozchodzą się. W walce wyborczej w roku 1940 Lewis deklaruje się jako zwolennik Wendell Willkie'go i przeciwnik mieszania się Ameryki w sprawy europejskie nawet w formie dostaw dla Wielkiej Brytanii.

Zmuszony do ustąpienia z kierownictwa C.I.O., która popiera Roosevelta, pociąga Lewis za sobą cały związek górników, liczący 600.000 członków, i stara się o rozbudowanie tej organizacji tak aby objęła ona wszystkich niezorganizowanych lub niezadowolonych ze swoich organizacji robotników różnych gałęzi produkcji — przez pewien czas próbuje nawet organizować farmerów.

Związkiem tym kieruje Lewis w sposób dyktatorski, usuwając obranych przywódców i wprowadzając swoich nominatów i członków rodziny. Nawet taki autorytarny system kierownictwa nie osłabia jednak przywiązania górników do przywódcy, który tak dużo dla górników osiągnął, i to osłabienie przywiązanie komplikuje bardzo stosunki amerykańskie w momencie kiedy wyraźnie jednolita postawa opinii amerykańskiej tak jest ważna, nie tylko dla pełnego zorganizowania wysiłku wojennego, któremu wszystkie zaburzenia odbierają cenne dni pracy, ale może wpłynąć na postawę Ameryki wobec zagadnień powojennych.

Ruch robotniczy amerykański jest ciągle jeszcze bardzo młody i ciągle jeszcze zasady organizacyjne mogą tam być mniej ważne niż silne osobowości przywódców, pionierów tego ruchu. Szczególnie duże komplikacje może powodować wpływ polityczny przywódców, którzy w swoich walkach organizacyjnych mogli nabrać więcej cech charakteru niż szerszego doświadczenia politycznego, zwłaszcza w stosunkach międzynarodowych.

wh.

Nowość

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI BAGNET NA BROŃ

Poezje 1939 - 1943

Cena: 150 milsów.

Na papierze czerpanym: 250 milsów.

Do nabycia:

w Jerozolimie: księgarnie „Igarta”, Steimatzky, Ever, „Universitas”, Hasefer, kiosk Egged.

w Tel-Awivie: księgarnie „Renaissance”, „Mikra”, „A.B.C.”, Siegel; kiosk Stadler.

Skład główny:
Wydawnictwo „W Drodze”, Jerozolima.

Spotkanie Roosevelt-Churchill i konferencja sztabowa w Quebec wysunęły się na czoło wszystkich wydarzeń politycznych ostatnich dwu tygodni. Prasa przypisuje naradom w Quebec wielkie znaczenie, arcykuszenie, skoro przygotowywano na nich plany nowego etapu ofensywnych działań wojennych Sprzymierzonych, etapu może już decydującego. Ma ona też tendencję dopatrywania się w nowym spotkaniu Roosevelta z Churchillem, trzecim w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy, czegoś wyjątkowego, niezwykłego, — tym razem już zupełnie niesłusznie. Skoro bowiem nie ma instytucji naczelnego wodza wojsk Sprzymierzonych, a równocześnie wojska te wzięły inicjatywę w swoje ręce i wykazują coraz więcej aktywności, jest rzeczą samą przez się zrozumiałą, że każdemu nowemu etapowi walk towarzyszyć muszą narady dwóch głównych strategów tej wojny, Churchilla i Roosevelta. Co więcej, można przypuszczać, że w miarę jak tempo wydarzeń wojennych stanie się coraz szybsze, narady takie będą miały coraz częściej miejsce.

Sprawy wojskowo-strategiczne nie wyczerpują sobą treści narad w Quebec. Obecność Edena i Cordell Hulla w sposób najoczywistszy manifestuje, że toczyły się tam także rokowania o charakterze polityczno-dyplomatycznym. Mają o nich wiemy: nie poświęcono im żadnego komunikatu oficjalnego, a dziennikarze, obecni w Quebec, okazali daleko idącą dyskrecję. Możemy być pewni, że głównym tematem dyskusji były sprawy rosyjskie. Tylko posunięcia personalne punktowały światu poszczególne etapy rozgrywek. Najpierw więc przyszła wiadomość o dymisji ambasadora Litwinowa. Potem przyszła dymisja nie ambasadora Stanów Zjednoczonych w Moskwie, adm. Stanley'a ale podsekretarza stanu Sumner Wellesa w Waszyngtonie. Dla jej oceny pamiętać trzeba, że Sumner Welles należy do najwybitniejszych osobistości w amerykańskim życiu politycznym; jest on przywódcą farmerów, należy do lewicy partii demokratycznej. W sprawach wewnętrznych dał się poznać jako stuprocentowy zwolennik New Deal'u. W sprawach zagranicznych reprezentował kierunek polityczny, niechętny bliskiej współpracy Stanów Zjednoczonych z ZSRR.

Równocześnie dowiadujemy się, że wiekomisarz Majski jedzie do Londynu, oraz że ma dojść do skutku podróż prez. Benesa do Moskwy, która oyla już raz zapowiadana i potem odwołana po jego wizycie w Waszyngtonie. Wszystko to do wodzi, że poważne decyzje polityczne bądź już dojrzają w Quebec, bądź też zostaną powzięte w najbliższej przyszłości, oraz wskazuje na to, że nadzieje Niemiec na powtórzenie manewru frydrycjańskiego z r. 1761 utraciły w ostatnich dniach grunt pod nogami.

Jeden etap wojny został właśnie dnia 17 sierpnia po trzydziestoosobnej kampanii zakończony: wojska Sprzymierzone wyparły ostatecznie wojska Osi z Sycylii. Od pierwszych dni inwazji na Sycylię rezultat taki nie ulegał wątpliwości, i to nie tylko w obozie Sprzymierzonych, ale także i po stronie przeciwniej: radio niemieckie od początku przygotowywało opinię na to, że Sycylia będzie ewakuowana — tak przynajmniej okazała się od pierwszego dnia przewaga Sprzymierzonych na każdym polu, zwłaszcza w lotnictwie. Spornymi mogły okazać się tylko kwestie z punktu widzenia tego głównego celu już drugorzędne: tempo posuwania się wojsk Sprzymierzonych lub też sprawa, czy Niemcom uda się wyewakuować zaangażowane na Sycylii dywizje. Trzeba przyznać, że o ile Włosi poddawali się łatwo i masowo, potwierdzała raz jeszcze swoją opinię złych żołnierzy, tam gdzie przychodziło do starć z Niemcami, tempo posuwania się Sprzymierzonych ogromnie się zwalniało. Trzeba też przyznać, że Niemcom udało się przerzucić przez cięśninę Messyńską pewną, jak się zdaje, wcale znaczną część wojsk, walczących na Sycylii. Kampania sycylijska dowiodła, że wojska niemieckie jeszcze dzisiaj, pod koniec czwartego roku wojny, walczą w warunkach, które były dla nich od początku beznadziejne, były dobre. Znaczący to, że duch bojowy armii niemieckiej nie jest złamany. Generałowie niemieccy przegrali kampanię sycylijską, ale dr. Goebbels może być z jej przebiegu zadowolony.

Palestyna i Bliski Wschód po wojnie

Londyński tygodnik „The Economist” zamieszcza w numerze z dn. 3 lipca obszerny artykuł, poświęcony sytuacji politycznej na Bliskim Wschodzie. Sytuacja ta w ciągu ostatniego roku radykalnie się zmieniła. Przed rokiem dominującym czynnikiem była tu groźba inwazji niemieckiej. Teraz zainteresowanie dla spraw wojennych wśród Arabów opadło, są oni już przekonani, że Sprzymierzeni zwyciężą: w centrum zainteresowania jest ten statut polityczny, jaki Bliski Wschód otrzyma po wojnie. Jeden z komentatorów amerykańskich ujął to w następującą formułę: „Arabom nie potrzeba Urzędu Informacji Wojennej, potrzeba im Urzędu Informacji Powojennej”.

„Trzeba powiedzieć, że poglądy arabskie są mgławicą z wyjątkiem jednego punktu — niezależności. Ludzie albo wcale albo mało sobie zdają sprawę z twardego faktu współzależności gospodarczej. O politycznej współzależności mówi się trochę w sposób nieobowiązujący, wyraża się to w formie wzrastających zainteresowań dla możliwości Konferencji Arabskiej. Parlament Egipski wyznosił Komitet, który ma rozważyć możliwość Unii Arabskiej. Rządy egipski i iracki dokonały „wymiany zdań” na temat egipskiej propozycji zwolnienia w przyszłości konferencji „pod egipskim przydum” dla przedyskutowania kwestii z delegatami innych państw arabskich. Nie można jednak powiedzieć, aby idea ta miała dużo szans realności w obecnej formie. Arabskie gazety w Syrii i Palestynie już teraz wyrażają wątpliwości co do motywów, tkwiących poza egipskimi aspiracjami do objęcia przewodnictwa. Ani Irak, ani Arabia Saudowska nie zgodziłyby się na nie”.

Sytuacja Palestyny jest szczególnie delikatna: „Arabowie palestyńscy próbują stworzyć organizację polityczną, która da wyraz ich poglądom, założono komitet pod kierownictwem Raszida Al-Hadż Ibrahima, który lata 1937—1940 spędził na koszt Jego Królewskiej Mości na wyspie Siechelles. Po stronie żydowskiej namietność

Włoskie wypadki nie usprawiedliwiły nadziei optymistów. Włochy nie poddały się Sprzymierzonym. Badoglio starał się w ogóle wymawiać Włochy z wojny i zapewnić im przywileje kraju neutralnego. Sprzymierzeni jednak nie poszli na te warunki, podtrzymując swoje żądanie bezwarunkowej kapitulacji. Trudno im się tu dziwić. Ze wszystkich bowiem możliwych wariantów sytuacji niewątpliwie najpomyślniejszym i najszybszym dla Niemców byłby teraz ten, któryby zapewnił Włochom na dalsze trwanie wojny statut państwa neutralnego. Pozwoliłoby to bowiem Niemcom przerzucić na inne fronty wszystkie dywizje, które są obecnie uwięzione w bucie Apenińskim, i zabezpieczyłoby przed możliwością inwazji przynajmniej jedną granicę Rzeszy, południową.

W tej sytuacji Badoglio, orientując się, iż nie można w żaden sposób na najbliższą przyszłość uniknąć tego, aby Włochy nadal pozostały terenem walki, postanowił nie poddawać się, czekając na ewentualną decyzję na dalszy wypadek. Niewątpliwie, na takie jego postanowienie znaczny wpływ musiał wywrzeć i naciski niemieckie. Nie ostatnim środkiem tego nacisku było wejście wojsk niemieckich do Triestu: Niemcy odcięli w ten sposób od kraju macierzystego tych dwadzieścia dywizji włoskich wojsk okupacyjnych, które stacjonują na Bałkanach. Dalszych zakładników mają Niemcy w masie włoskich robotników, pracujących w Rzeszy.

W tych warunkach wielkie, niszczące naloty lotnictwa Sprzymierzonych na Mediolan, Turyn i Rzym miały przekonać Włochów, że Badoglio wybrał jednak drogę większego ryzyka.

Droga Badoglio jest ryzykowna i z innego jeszcze względu. Oto wszystkie wiadomości, nadchodzące z Włoch, zgodne są w tym, że dalsza wojna jest w społeczeństwie włoskim ogromnie niepopularna. To też Badoglio, skoro się zdecydował na dalsze prowadzenie wojny u boku Niemiec, zmuszony był ograniczyć względą swobodę prasy i wypowiedzi pierwszych dni jego rządów. W tej chwili prasa włoska jest „zgleichgeschaltowana” nie gorzej niż za czasów faszystowskich, i rząd włoski kontynuować wojnę przy boku Niemiec może tylko idąc przeciw społeczeństwu. Badoglio stara się co prawda skanalizować te nastroje, skierowując je przeciwko zniechęceniu w kraju faszystom: wydał szereg zarządzeń antyfaszystowskich i likwiduje niektórych faszystów przy pomocy metod, którym w życiu politycznym Włoch prawo obywatelskie nadał faszizm. Okazuje się, że zbarbarzowanie życia politycznego, które przyszło do Włoch wraz z rewolucją faszystowską, ma twardszy żywot i od Cezara, i od jego imperium.

Jeśli Badoglio konsekwentnie pójdzie dalej po tej drodze kontynuowania wojny, jedyny wentyl, który umożliwił Włochom wyjście z klęski metodami „legalnymi” i z zachowaniem monarchii, przestanie działać. Dalsze pozostawienie Badoglio przy władzy — to w perspektywie rewolucja, która zmiecie we Włoszech władzę królewską.

Wiadomości o bombardowaniu wielkich miast włoskich: Mediolanu, Turynu i Rzymu słuchało się z uczuciami mieszanymi. Wielkie znaczenie tych bombardowań dla celów strategicznych Sprzymierzonych nie ulega wątpliwości. Nie ulega też wątpliwości, że mają one także duże znaczenie polityczne. Patrząc jednak dalej w przyszłość, można się obawiać, że te sukcesy, jakie można dziś wyciągnąć z wojny niszczeniem politycznych i gospodarczych ośrodków Włoch, trzeba będzie okupywać znacznymi trudnościami po wojnie, kiedy te zniszczone Włochy wypadnie organizować tak, aby były zdolne one do życia i nie poddały w anarchię, która mogłaby się fatalnie odbić na całej Europie. Skarby sztuki, nagromadzone w Rzymie, i — w mniejszej mierze — w Mediolanie, są duchową własnością nie tylko Włochów, ale całego świata kulturalnego: niszczenie ich uboży nas wszystkich. Odpowiedzialność zaś moralnej nacji włoskiej, który w tak wyraźny sposób przejawiał i przejawia swój brak solidarności z faszystem, za barbarzyńskie naloty na Warszawę, Belgrad, Rotterdam, Londyn czy Coventry, nie można w żadnej mierze zastawić z odpowiedzialnością nacji niemieckiej, jednolicie solidarnego z reżimem.

www.

przybierają na sile. W najbliższym roku wygasa okres imigracyjny, dozwolony przez Białą Księgę. Później imigracja żydowska będzie zdana na łaskę i niełaskę Arabów. Nawet umiarkowani Żydzi uważają takie zarządzanie za nie do przyjęcia. A umiarkowani wcale nie są dzisiaj decydującym czynnikiem w polityce żydowskiej”.

Wyjście z sytuacji widzi autor w planie współpracy żydowsko-arabskiej: „Porozumienie możliwe jest na zasadzie programu ograniczonej federacji arabskiej, opracowanego przez grupę żydowskich i arabskich umiarkowanych działaczy, współpracujących z drem Magnesem, kanclerzem Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie. Plan ten... przewidyuje federację niezależnej Syrii, Transjordanii i Palestyny. Palestyna stałaby się krajem dwunarodowościowym, a imigracja żydowska nie byłaby ograniczona do pewnej określonej cyfry, ale byłaby obliczona w pewnym stosunku do Arabów, tak, że wzrost ludności arabskiej, wynikający, powiedzmy, z lepszych warunków gospodarczych, byłby równocześnie korzystny i dla Żydów. Jak dotychczas, plan ten został odrzucony przez większość Żydów palestyńskich, głównie dzięki temu, ponieważ liczyli oni na zapewnienie poparcie amerykańskich sjonistów dla armii i państwa żydowskiego. Dziś jednak są znaki, wskazujące na zmianę w opinii amerykańskiej... Istnieje więc wreszcie możliwość układu anglo-amerykańskiego co do polityki federacji arabskiej z pełnym zabezpieczeniem pozycji Żydów i możliwością dalszej ekspansji”.

Adres Redakcji: Polish Information Centre, Jerusalem, Bezael Street, House Valero.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press